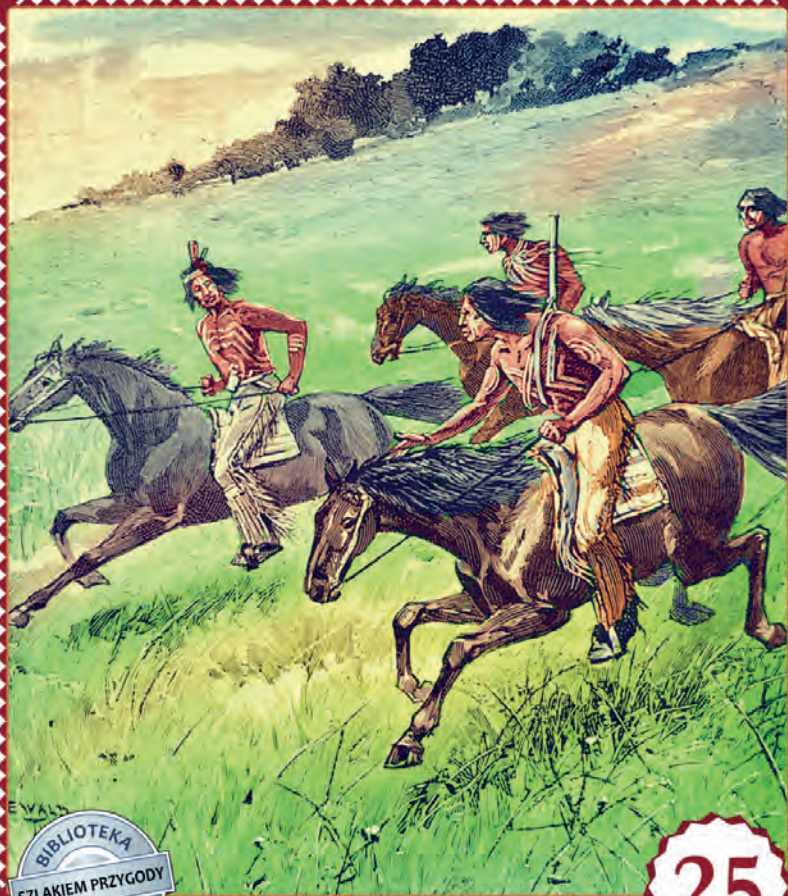




Karol May  
SKARB W SREBRNYM JEZIORZE  
CZĘŚĆ DRUGA



25

ISBN 978-83-65753-93-9 (całość)

ISBN 978-83-65753-95-3 (część 2)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA  
SZLAKIEM PRZYGODY**

**Karol May**

**SKARB  
W SREBRNYM JEZIORZE  
Część druga**



Karol May (1842-1912) urodził się w miasteczku Ernstthal u podnóża Rudaw Czeskich. Ojciec był tkaczem, matka akuszerką. Dziewięcioro z jego czternaściorga doręczeństwa zmarło bardzo wcześnie. Jako kilkuletnie dziecko stracił wzrok, który odzyskał dopiero po operacji. Lata życia w ciemności miały niebagatelny wpływ na jego psychikę.

W wieku lat dwudziestu uzyskał dyplom nauczycielski, ale już po dwóch tygodniach pracy za drobne kradzieże trafił na sześć tygodni aresztu. Po wyjściu na wolność popada w nowe kłopoty: udaje okulistę, dokonuje kradzieży futer. W 1865 roku zostaje skazany na cztery lata pozbawienia wolności. W więzieniu pracuje w bibliotece. To wówczas postanowił zostać pisarzem. Po wyjściu na wolność kontynuował jednak dawne życie. Kiedy znów złapała go policja, twierdził, że jest synem właściciela plantacji z Martyniki.

Badacze życia i twórczości Maya spekulują na temat jego choroby psychicznej. Prawdopodobnie pisarz cierpiał na narcystyczne zaburzenia osobowości.

Miał 32 lata, gdy opuszczał więzienie. Chciał wyemigrować do Ameryki, zamiast tego został redaktorem w jednej z dreźnieńskich gazet. W piśmie „Deutsches Familienblatt” publikuje pierwszy odcinek cyklu „Z tecki podróżnika”. Powieści w odcinkach przeżywały wtedy rozkwit, a May okazał się utalentowanym ich autorem. Najslynniejszą z nich jest *Leśna Różyczka*.

W 1886 roku nawiązuje współpracę z tygodnikiem młodzieżowym „Der Gute Kamerad”. Publikuje w nim m.in. słynne powieści z Dzikiego Zachodu: *Syn Pogromcy Niedźwiedzi*, *Skarb w Srebrnym Jeziorze*.

Na początku lat 90. XIX w. ceniony wydawca Friedrich Ernst Fehsenfeld proponuje mu długoterminowy kontrakt. W 1892 roku ukazuje się pierwszy tom „Opowieści podróżniczych Karola Maya” *Przez pustynię i harem*. Wydana wkrótce w tej serii powieść *Winnetou, czerwono-skóry dżentelmen* (1893) osiąga niebywały sukces.

Przekonany, że czytelnik potrzebuje wrażenia autentyczności, z początku poprzestawał na aluzjach, że pisze nie tylko o rzeczach wymyślonych, lecz również o tym, czego sam doświadczył. Z każdą kolejną historią granice między fikcyjnymi bohaterami a autorem zacierały się coraz bardziej. May zaczął przekonywać, że wszystkie opisane przez siebie przygody przeżył osobiście. Odpowiadał na listy swoich wielbicieli, rozdawał swoje zdjęcia w przebraniu Old Shatterhanda lub Kary Ben Nemsi.

W wieku 56 lat May był u szczytu sławy. Chwalił się, że mówi 40 językami, a rozumie nieskończenie więcej. Owe iluzje doprowadziły w końcu do mistycznego pacyfizmu z Winnetou jako swego rodzaju czerwonym Chrystusem w roli głównej. Ostatnie powieści pisarza ociekają mistycyzmem i symboliką.

U schyłku życia dogoniły go kłamstwa z przeszłości. W 1899 roku do zarzutów, że zmistyfikował swoje dawne życie, dołączyła krytyka jego twórczości, zwłaszcza wczesnych powieści brukowych. May w panice usiłował usunąć ślady popełnionych oszustw. Poleciał wyrzucić kompromitujące zdjęcia, zakazywał druku swoich wczesnych powieści. Na jaw wyszły wszystkie mactactwa: fałszywy tytuł doktorski uniwersytetu w Rożen, zatajone kary. Walka przed sądami ciągnęła się prawie dziesięć lat. Pisarz pogrążył się w depresji, nie był w stanie pisać. Na koniec pojawił się wyrok przyznający literatowi prawo do innego postrzegania prawdy. Straconego zdrowia nie mogło to jednak zwrócić.

Kilka lat przed śmiercią Karol May wraz z drugą żoną Klarą wybrał się wreszcie do Ameryki. Przejechał z Nowego Jorku i Bostonu do wodospadu Niagara. Człowiek, który nazywał Dzikiego Zachód swoją ojczyzną, przerobił dzielnie program nowicjusza w Ameryce. Smutnym ukoronowaniem owej podróży była wizyta w rezerwacie, gdzie czterystu potomków plemienia Irokezów gnieździło się w namiotach dla bydła. Rzeczywistość bardzo rzadko wygrywa z wyobraźnią.

Jego popularność trwa do dzisiaj. W domu pisarza w Radebeul pod Dreznem funkcjonuje muzeum Karola Maya i kultury indiańskiej. W Niemczech organizowane są coroczne spektakle plenerowe oparte na motywach jego powieści. Wydawnictwo Karl-May-Verlag, zajmujące się spuścizną pisarza, od lat jest jednym z najpopularniejszych w jego ojczyźnie. W planach jest budowa wielkiego, nowoczesnego muzeum Karola Maya w Radebeul.

Karol May



SKARB  
W SREBRNYM JEZIORZE  
Część druga

**Przełożyła i przypisami opatrzyła Kamila Oratowska**

**Sześćdziesiąta druga publikacja elektroniczna  
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Dwudziesty piąty tom serii:  
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału niemieckiego:  
*Der Schatz im Silbersee*

© Copyright for the Polish translation by Kamila Oratowska 2019

67 ilustracji, w tym 16 kolorowych: Ewald Thiel  
(zaczepnięte z wydań z 1891 roku oraz z 1907)  
Ilustracje na okładce i w tekście podkolorował Dariusz Kocurek

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja: Maciej Milach  
Korekta: Andrzej Zydorczak  
Projekt okładki: Barbara Linda  
Skład: Andrzej Zydorczak

**Wydanie I**

© **Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2019**

**ISSN 2449-9137**

ISBN 978-83-65753-93-9 (całość)

ISBN 978-83-65753-94-6 (część druga)

## Rozdział VI

### U Indian Juta

**D**o przeciwległej stronie Cumison River, tam gdzie wznoszą się Elk Mountains<sup>1</sup>, czterech mężczyzn jechało przez płaskowyż porośnięty niską trawą. Jak okiem sięgnąć, nigdzie nie było ani śladu krzaków i drzew. Chociaż na Dalekim Zachodzie jest rzeczą zwyczajną, że co krok widuje się niezwykle postacie, to jednak ci czterej jeźdźcy musieliby zwrócić na siebie specjalną uwagę każdego, kto by ich napotkał.

Jeden z nich, który natychmiast zdawał się być najbardziej wytwornym, siedział na wspaniałym karym ogierze z gatunku tych, które hodują niektóre plemiona Apaczów. Człowiek ten, mimo że nie nazbyt rozrośnięty, wywoływał wrażenie niespożytej siły i wytrwałości. Twarz jego, spalona od słońca, okalała pełna, ciemnoblonde broda. Nosił skórzane legginy, koszulę z tego samego materiału i długie buty, które można było podciągać aż powyżej kolan. Głowę osłaniał mu filcowy kapelusz o szerokim rondzie, dookoła którego szedł sznur z nawleczo-nymi końcami uszu niedźwiedzia grizzly. Szeroki, pleciony z pojedyn-czych rzemieni pas pęczniał od nabojów, a nadto tkwiły za nim dwa rewolwery i nóż Bowie'ego. Poza tym zwisały z niego dwie pary pod-ków na śrubach oraz cztery prawie okrągłe, grube plecionki z sitowia i słomy, zaopatrzone w rzemienie i sprzączki. Były one przeznaczone do tego, aby przymocować je do kopyt końskich w razie, gdyby szło o zmylenie pościgu. Od lewego ramienia ku prawemu biodru zwisało zwinięte lasso, a na szyi, na mocnym sznurze jedwabnym, wisiała fajka pokoju ozdobiona piórami kolibrów. W prawej ręce trzymał strzelbę o krótkiej lufie i o zamku bardzo dziwnej konstrukcji, a na plecach miał na szerokim pasie bardzo długą, wielkiej mocy dubeltówkę nadzwyy-

---

<sup>1</sup> *Elk Mountains* – pasmo górskie w południowej części Gór Skalistych w stanie Kolora-do; najwyższym szczytem jest Castle Peak (4352 m n.p.m.).

czaj rzadkiego dziś gatunku, nazywaną dawniej „niedźwiedziówką”, a do której nadawały się kule tylko największego kalibru. Człowiekiem tym był Old Shatterhand<sup>1</sup>, słynny myśliwy, zawdzięczający swój przydomek temu, że mógł przeciwnika powalić uderzeniem pięści.

Obok niego jechał mały, wąły człowieczek bez zarostu, w niebieskim fraku o długich połach z żółtymi, bardzo pięknie wyczyszczonymi guzikami. Na głowie dźwigał wielki damski kapelusz, tak zwaną amazonkę, na którym chwiało się olbrzymie pióro. Spodnie miał za krótkie, a nagie stopy tkwiły w starych butach z mocnej skóry, do których przypiął wielkie meksykańskie ostrogi. Jeździec ten zawiesił na sobie cały arsenał rozmaitej broni. Lecz kto spojrzalby na jego dobroduszną gębsię, ten musiałby uznać, że to przerażające wyposażenie ma tylko na celu odstraszyć ewentualnych wrogów. Owym człowieczkiem był pan Heliogabal Morfeusz Franke, zwany przez towarzyszy Hobbler<sup>2</sup> Frankiem, ponieważ na skutek dawnej rany kulał na jedną nogę.

Za tymi dwoma jechała postać mająca ponad sześć stóp wzrostu, zbudowana bodaj z samej skóry i kości. Kiwała się na starym, niskim mule, który zdawał się nie mieć już sił, by ją nosić. Jeździec ów miał na sobie spodnie skórzane, przykrojone w każdym razie na miarę osoby znacznie niższej, ale też znacznie cięższej. Jego także bose stopy tkwiły w skórzanych butach, tak często naprawianych i łatanych, że teraz składały się wyłącznie z kawałków i łat, a jeden z nich ważył co najmniej o pięć albo sześć funtów<sup>3</sup> więcej od drugiego. Ciało tego mężczyzny obleczone było w koszulę ze skóry bizona, która nie osłaniała mu piersi, nie miała bowiem ani guzików, ani haftek czy pętlic. Rękawy jej sięgały zaledwie po łokcie. Dokoła długiej szyi nosił bawełnianą chustkę, której pierwotnej barwy nie można już było rozpoznać. Na spiczastej zaś głowie siedział kapelusz, który zapewne przed wielu laty był wytwornym szarym cylindrem. Być może zdobył wów-

---

<sup>1</sup> *Shatterhand* – Gruchocąca / Grzmocąca Dłoń (ang. shatter: roztrzaskać, pogruchotać, zdruzgotać. hand: ręka, dłoń).

<sup>2</sup> *Hobble* (ang.) – kuleć, kuśtykać, utykać.

<sup>3</sup> *Funt* (ang. *pound*) – jednostka wagi, używana powszechnie w Europie (także w Polsce) do XIX wieku, w różnym czasie i na różnych obszarach równa wadze od 0,35 do 0,56 kg, obecnie używana w krajach anglosaskich równa 0,453 kg.



czas skroń jakiegoś milionera, potem jednak staczał się coraz niżej i niżej, aby w szczerzej prerii znaleźć się w rękach obecnego właściciela. Ten zaś, uważając rondo za zbyt cenne, oddał je, pozostawiając za ledwie mały rąbek, za który chwycił, ilekroć miał ochotę zdjąć to nieopisane powyginane i zgniecione okrycie głowy. Za grubym sznurem, naśladującym pas, tkwiły dwa rewolwery i nóż do skalpowania, a nadto kilka woreczków z najrozmaitszymi drobiazgami, bez których westman obejść się nie może. Na ramiona miał zarzucony gumowy płaszcz, ale za to jaki!

Ta chluba jego garderoby zaraz po pierwszym deszczu tak się zeszczała i skurczyła, że już nigdy więcej nie mogła spełnić swego pierwotnego zadania i odtąd właściciel musiał widzieć w niej jedynie burkę huzarską<sup>1</sup>. W poprzek swych niebywale długich nóg człowiek ten złożył jedną z owych strzelb, z których doświadczony myśliwy nigdy nie chybia celu. Ile miał lat, tego nie odgadłby nawet ten, kto by zdołał określić wiek jego muła. Co najwyżej można się było domyślać, że obaj znają się dokładnie i że już niejedną przygodę razem przeżyli.

Czwarty jeździec siedział na rumaku bardzo wysokim i silnym. Był pękaty jak beczułka, ale tak kusy, że krótkimi nogami mógł za ledwie do połowy objąć boki konia. Chociaż słońce nie szczydziło ciepła, nosił futro tak wyliniałe, że wszystkie jego włosy, zgarnięte razem, starczyłyby na pokrycie za ledwie skórki polnej myszy. Na głowie miał o wiele za dużą panamę<sup>2</sup>, a spod futra wyglądały dwa olbrzymie buty z podnoszonymi cholewami. Ponieważ rękawy futra były nazbyt długie, więc z całej postaci tego człowieka widać było właściwie tylko tłustą, czerwoną, pocziwą, a zarazem chytrą twarz. Uzbrojony był w długą strzelbę. Czy miał przy sobie ponadto jeszcze jakąś inną broń, trudno było orzec, bowiem futro wszystko zakrywało.

Ci dwaj – David Kroners i Jakub Pfefferkorn – znani byli wszędzie jako „Długi Davy” i „Gruby Jemmy”. Byli nierozłączni i nikt

---

<sup>1</sup> *Burka huzarska* – okrycie wierzchnie w formie krótkiej pelerynki, stanowiące część umundurowania huzarów.

<sup>2</sup> *Panama* (kapelusz panamski) – letni, jasny kapelusz wyplatany z włókien palmy rosnącej w Południowej Ameryce; także kapelusz słomkowy o tym kształcie.

nigdy nie widział ich inaczej jak w swoim towarzystwie, albo przynajmniej gdzieś w pobliżu. Jemmy był Niemcem a Davy jankesem. Przez te wszystkie wspólne lata Davy nauczył się od Jemmy'ego tak wiele po niemiecku, że potrafił się wystarczająco dobrze wysłowić również w tym języku. Równie nierozłączne jak obaj jeźdźcy były także ich zwierzęta. Stały zawsze obok siebie. Razem skubały trawę. Gdy na jakimkolwiek obozowisku zmuszone były znosić towarzystwo innych koni, to przynajmniej odsuwały się od nich odrobinę i przysunąwszy się ciasno bok do boku, parskały, mlaskały i obwąchiwały się przyjaźnie.

Chociaż zaledwie minęło południe, to jednak, jak świadczył kurz okrywający konie, jeźdźcy musieli już dziś odbyć znaczną drogę, i to nie tylko po miękkiej trawie. Mimo to ani zwierzęta, ani też oni nie okazywali znużenia. Jeśli nawet czuli się zmęczeni, to można było o tym wnosić jedynie z milczenia, w jakim jechali.

Owo milczenie pierwszy przerwał Hobbler Frank, jadący obok Old Shatterhanda, pytając swego sąsiada w ojczystym dialekcie:

– Zatem nocować będziemy przy Elk Fork<sup>1</sup>? Daleko jeszcze?

– Dostaniemy się tam pod wieczór – odpowiedział mu Old Shatterhand.

– Dopiero pod wieczór? Olaboga! Któż to wytrzyma! Siedzimy w siodle już od wczesnego rana. Musimy się przecież zatrzymać, aby przynajmniej koniom pozwolić odetchnąć. Nie sądzisz pan?

– Naturalnie. Zaczekajmy jednak, aż przebędziemy prerię. Za nią jest las, w którym znajdziemy wodę.

– Dobrze! Będzie można konie napoić i nakarmić trawą. Ale co my tam znajdziemy? Wczoraj zjedliśmy ostatni kawałek wołu, a dziś rano mieliśmy tylko kości. Od tego czasu nie nawinął się pod strzał nawet wróbel, ani jakie inne zwierzę. A ja jestem głodny i muszę wnet dostać coś do schrupania, bo padnę z głodu.

– Nie martw się! Już ja jakąś pieczeń zdobędę.

---

<sup>1</sup> *Elk Fork* – dopływ rzeki Point Pleasant Creek o długości ok. 24 km w północno-zachodniej części stanu Wirginia Zachodnia.

– Tak, ale jaką? Ta stara łąka jest tak pusta, jak mój brzuch. Zda-  
je mi się, że tutaj nie ułowimy ani robaczka. Gdzież więc porządnie  
głodny westman dostanie pieczeń?

– Już ją widzę. Weź mojego konia za cugle i jedź z innymi po-  
woli naprzód.

– Naprawdę? – zapytał Frank rozglądając się z niedowierzaniem. –  
Widzisz pan już pieczeń? Ja jednak nie mogę nic podobnego zwężyć!

Niemniej jednak, ujawszy lejce konia Old Shatterhanda, pojechał  
dalej z Davym i Jemmy, myśliwy zaś skierował się w bok, gdzie  
wśród trawy widać było wielką ilość kopców. Była to kolonia piesków  
preriowych, jak nazywane są amerykańskie świstaki z powodu ich gło-  
su przypominającego szczekanie. Są to stworzenia Bogu ducha winne,  
niezgodliwe i bardzo ciekawskie, a co osobliwe, chętnie mieszkają  
razem z grzechotnikami i sowami. Jeśli się kto do nich zbliży, to stają  
prosto, aby mu się przypatrzeć, wykonując przy tym zabawne ruchy  
i przyjmując pocieszne pozy. Skoro tylko powezmą jakieś podejrzenie,  
błyskawicznie dają nura w swe nory i nic już ich nie zdoła stamtąd wy-  
wabić. Myśliwy, który może zdobyć trochę innej żywności, gardzi mię-  
sem tych zwierząt, nie dlatego, żeby było niejadalne, ale że czuje doń  
jakieś uprzedzenie. Jeśli mimo to zechce zapolować na psa preriowe-  
go, to nie próbuje nawet zbliżyć się po kryjomu, bo stworzeniom tym  
nie zbywa na ostrożności, lecz musi wzbudzać w nich zaciekawienie  
tak długo, aż zbliży się na odległość strzału. Może to osiągnąć jedynie  
przez to, iż sam będzie wyczyniać najśmieszniejsze pozy i najpociesz-  
niejsze ruchy, wówczas piesek preriowy nie wie, kim jest zbliżający  
się i co ma o nim sądzić. Old Shatterhand wiedział o tym. Kiedy więc  
dostrzegł, że zwierzątka siedzące na kopcach zauważyły go, zaczął  
wykonywać najrozmaitsze skoki, schylać się, to znowu podnosić, ob-  
racając się w kółko i poruszając ramionami jak wiatrak. Miał w tym  
tylko jeden cel, by coraz bardziej się do nich zbliżyć.

Hobble Frank, jadący teraz obok Jemmy'ego i Davy'ego, odezwał  
się na ten widok zatroskanym głosem:

– Olaboga! A temu co strzeliło do głowy! Czy on nie jest przy-  
padkiem odrobinę stuknięty? Zachowuje się tak, jakby się szalęju  
najadł!



– Olaboga! A temu co strzelito do głowy!  
Czy on nie jest przypadkiem odrobinę stuknięty?

– Szaleju! Chyba masz na myśli szalej? – poprawił go Jemmy.

– Milcz! – nakazał mały. – Szalej, a to dopiero bez sensu! To się nazywa szaljej. Skoro jestem urodzony w Moritzburgu<sup>1</sup>, to muszę to przecież wiedzieć. Tam rośnie szaljej dziko w lesie i widziałem go chyba z tysiąc razy... Słuchajcie! Strzela!

Old Shatterhand oddał teraz dwa strzały tak szybko po sobie, że zabrzmiały jak jeden. Tamci zobaczyli, że podbiegł do przodu i schylił się dwukrotnie, aby coś podnieść, po czym powrócił do nich. Ustrzelone dwa psy preriowe włożył do torby przy siodle i wsiadł na konia. Hobble Frank zrobił niewyraźną minę i zapytał:

– Czy to ma być owa pieczeń? Dziękuję za nią unieżenie!

– Dlaczego?

– Takich specjałów nie jadam!

– A czy próbowałeś tego już kiedy?

– Nie! Ani mi się śniło!

– Toteż nie możesz wyrobić sobie zdania, czy takiego psa preriowego da się jeść, czy nie. Czy jadłeś może kiedy mięso młodego koźlęcia?

– Młode koźlę? – odparł Frank mlaskając językiem. – Naturalnie, że jadłem. Słuchaj pan, o, to, to zupełnie co innego!

– Naprawdę? – zaśmiał się Old Shatterhand.

– Na honor! Toż to delikatesik, który nie ma sobie równych.

– A przecież tysiące ludzi śmieją się z tego!

– Tak, ale głupców liczy się właśnie na tysiące. Powiadam panu, my Saksończycy wyznajemy się na potrawach jak nikt w Europie. Młode koźlę włożyć do rondla, do tego mały ząbek czosnku i kilka listków majeranku. Mięso dobrze przyrumienić i upiec, tak żeby chrupało. To ci dopiero prawdziwie boska strawa dla wszystkich baronów i markiz Olimpu. Wiem o tym dobrze, bo około Wielkanocy, kiedy już są młode kozy, cała Saksonia jada w domu we wszystkie niedziele i święta tylko koźlinę.

– Bardzo pięknie. Ale powiedz mi, czy jadłeś już także trusię?

---

<sup>1</sup> *Moritzburg* – miejscowość i gmina w Niemczech, w kraju związkowym Saksonia, w powiecie Miśnia, w pobliżu Drezna.

– Pietrusię? Co to takiego?

– Trusię! Swojskiego zająca, zająca domowego. Właściwie zwanego królikiem.

– Królik? *Alaboner*<sup>1</sup>! To również przedni przysmak. Za moich czasów w Moritzburgu i okolicach we wszystkie święta kościelne w domu zawsze jadano króliki. Mięso mają tak delikatne, że wprost rozplywa się w ustach.

– Ale jest wielu ludzi, którzy by cię wykpiłi, gdybyś im to powiedział.

– Bo sami mają zajączka w głowie. Taki królik, co je tylko najlepsze i najdelikatniejsze części jarzynek, musi mieć wspaniałe mięso, to się rozumie chyba samo przez się. A co? Może pan też w to nie wierzysz?

– Owszem, wierzę, ale za to żądam, abyś się nie wyśmiewał z mojego pieska preriowego. Zobaczysz, że smakuje tak jak kozłina i prawie jak królik.

– Jeszcze nigdy czegoś takiego nie słyszałem!

– Dzisiaj usłyszałeś i dziś także skosztujesz. Mówię ci, że... Stać, czy to nie jeźdźcy?

Wskazał ku południowemu zachodowi, gdzie majaczyło kilka posuwających się postaci, ale tak jeszcze odległych, że nie można było rozpoznać, czy to zwierzęta, może byki, czy jeźdźcy. Nasi czterej myśliwi jechali powoli dalej, mając oczy zwrócone na ową grupę. Po pewnym czasie przekonali się, że to jeźdźcy, a wkrótce potem okazało się, że noszą mundury. Byli to więc żołnierze.

Zmierzała właściwie w kierunku północno-wschodnim, ale zobaczywszy czterech jeźdźców, zmienili kierunek i zbliżyli się do nich w galopie. Było ich dwunastu, przewodził porucznik. Zatrzymali się w odległości może trzydziestu kroków. Oficer zmierzył czterech jeźdźców posępnym oraz badawczym wzrokiem i zapytał:

– Skąd wracacie, *boys*?

– Do stu piorunów! – zamruczał pod nosem Hobble Frank. – Mamy sobie pozwolić na to, żeby ktoś zwracał się do nas „*boys*”? Ten typ widzi przecież, że mamy lepsze pochodzenie!

---

<sup>1</sup> *Alaboner* (właściwie: *À la bonne heure* (fr.) – i owszem, właśnie.

– Co to za szepty! – zawołał porucznik surowym tonem. – Chcę wiedzieć, skąd wracacie!

Frank, Jemmy i Davy spojrzeli na Old Shatterhanda, co też on uczyni albo powie. Ten zaś odpowiedział najspokojniejszym głosem:

– Z Leadville<sup>1</sup>.

– A dokąd się wybieracie?

– Do Elk Mountains.

– To kłamstwo!

Old Shatterhand popędził konia, aż stanął obok oficera i zapytał wciąż jeszcze tym samym spokojnym tonem:

– Masz pan powód, by nazwać mnie kłamcą?

– Tak!

– A jakież to?

– Nie jedziesz pan z Leadville, lecz z Indian Fort.

– Myli się pan.

– Ja się nie mylę. Znam pana.

– Ach tak? Zatem kim jesteście?

– Nazwisk nie znam, ale podacie mi je natychmiast.

– A jeśli tego nie zrobimy?

– To wezmę was ze sobą.

– A jeśli nam się to nie spodoba, *sir*?

– To doświadczycie skutków waszego postępowania. Kim jesteście, co robimy i co znaczy ten mundur, to jest wam znane. Jeśli któryś z was chwyci za broń, zastrzelę go.

– Naprawdę? – zaśmiał się Old Shatterhand. – Niech no pan spróbuje, czy pan tego potrafi dokonać. Patrz pan!

Już trzymał w prawej dłoni strzelbę i mierzył nią w oficera, jednocześnie wyciągnął rewolwer. Równie szybko znalazła się broń w rękach Franka, Davy’ego i Jemmy’ego.

– Do wszystkich diabłów! – wrzasnął porucznik, chwytając za pas. – Ja...

– Stój! – przerwał mu Old Shatterhand grzmiącym głosem. – Łapy precz od pasa, *boy*! Wszystkie ręce do góry, bo inaczej wypalimy!

---

<sup>1</sup> *Leadville* – miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Kolorado, siedziba administracyjna hrabstwa Lake.

W takiej sytuacji, jak ta dziejąca się obecnie, jeśli sprawy toczą się na serio, co w tym przypadku nie miało miejsca, chodzi o to, kto pierwszy ma broń gotową do strzału. Ów pierwszy wzywa drugiego, by podniósł ręce do góry, aby znalazły się one jak najdalej od broni znajdującej się za pasem lub tkwiącej w kieszeniach. Jeżeli zwywany nie będzie natychmiast posłuszny, to już po nim, bowiem dostanie z miejsca kulkę. Wiedział to oficer i wiedzieli także jego ludzie. Mając poczucie przewagi i pewności siebie, nie zadbali o to, by mieć broń w ręce. Zobaczyli więc osiem luf strzelb i rewolwerów skierowanych ku nim. Byli przekonani, że mają do czynienia z przestępczym motłochem, i dlatego niezwłocznie posłuchali rozkazu – podnieśli ręce do góry.

Był to doprawdy zabawny widok – tak wielu dobrze uzbrojonych kawalerzystów z podniesionymi w górę rękoma na swych koniach. Lekki uśmiech przemknął przez zawsze tak poważną twarz Old Shatterhanda, kiedy ciągnął teraz dalej:

– A zatem! Jak sądzisz, *boy*, co my teraz zrobimy?

– Strzelaj pan – odpowiedział porucznik, do którego było skierowane pytanie – lecz zemsta będzie wam deptać po piętach, aż was wreszcie dopadnie!

– *Pshaw!* Cóż nam po tym, że roztrwonimy nasze dobre kule na ludzi, którzy dają się zastraszyć czterem rzekomym nędznym łobuzom, tak że podnoszą ręce do samego nieba! Sławy nam to z pewnością nie przysporzy! Chciałem tylko dać panu nauczkę. Jesteś pan jeszcze młody i może się to panu przydać. Bądź pan zawsze w miarę możliwości grzeczny, *sir!* Dżentelmen nie pozwala sobie, by pierwszy lepszy, który go napotka, zwracał się do niego „*boy*”. Ponadto, nie nazywaj pan kogoś kłamcą, jeżeli nie potrafisz pan dowieść, że jest on nim rzeczywiście. Możesz pan łatwo skrzywdzić kogo, co pokazują obecne okoliczności. A po trzecie, jeśli tu, na Zachodzie, spotykasz pan ludzi, z którymi nie zamierzasz pan czule postępować, to weź pan broń do ręki. W przeciwnym razie będziesz pan zmuszony przyjąć tę samą postawę uczniaka, jak w tej chwili. Pomyliłeś się pan co do nas. Ani z nas żadni *boys*, ani też kłamcy. A teraz opuść pan ręce. Nie mamy zamiaru podziurawić kulami pańskiej skóry!



Schował rewolwer i opuścił strzelbę. Pozostali trzej towarzysze poszli za jego przykładem. Zaraz potem żołnierze opuścili ręce. Ich oficer wyrzucił z siebie swój wstyd i wściekłość:

– *Sir*, jak pan śmie, grać z nami taką komedię! Musisz pan wiedzieć, że jest w mojej mocy ukarać was za to!

– Moc? – śmiejąc się, zapytał Old Shatterhand. – Chęć tak, ale nie moc. Udowodniłem to panu. Chciałbym wiedzieć, jakąż to karę chcesz pan na nas nałożyć. Ośmieszylbyś się pan dokładnie tak jak przed chwilą.

– Oho! Teraz znów chodzi o to, kto pierwszy chwyci za rewolwer...

Porucznik zdania nie dokończył. Znów sięgnął dłonią za pas, lecz w tej samej chwili poczuł jak Old Shatterhand unosi go z siodła, przytrzymuje w powietrzu, w końcu rzuca go w poprzek przed sobą na swego konia, błyskawicznie wyciąga nóż, przystawiając mu go do piersi i, znów śmiejąc się, woła:

– Mów pan dalej, *sir*! Co też chciał pan powiedzieć? Teraz znów chodzi o to, który pierwszy położy tego drugiego na swoim siodle, nieprawdaż? Tak to było? Gdy tylko jeden z pańskich ludzi się poruszy, wbiję panu ostrze prosto w serce! Tylko spróbujcie!

Żołnierze zamarli na swych koniach. Nie spodziewali się takiej siły, zręczności i szybkości. Ze zdumienia i zaskoczenia zapomnieli, że mają broń i są w liczebnej przewadze.

– Do wszystkich diabłów! – wrzasnął oficer, bojąc się przy tym poruszyć. – A cóż to za pomysły? Puśćże mnie pan!

– Przyszło mi tylko do głowy, żeby panu udowodnić, że rzeczywiście natknęliście się na fałszywych łobuzów. Tyłu, ilu was tutaj jest, nie tak prędko byśmy się przestraszyli. A gdyby był was tu cały szwadron, też byśmy się nie martwili. Stań pan tutaj i posłuchaj grzecznie, co panu powiem.

Old Shatterhand wziął go za kołnierz, podniósł z konia tylko jedną ręką i postawił na trawie tuż obok zwierzęcia. Potem kontynuował:

– Widziałeś pan już może kiedyś jednego z nas?

– Nie – odpowiedział porucznik, nabierając głęboko tchu. Czuł w sobie złość. Nie miał jednak odwagi dać jej wyraz. Czuł się do cna

skompromitowany przed swoimi ludźmi. Najchętniej wyciągnąłby szablę i zadał Old Shatterhandowi potężny cios. Był jednak przekonany, że ta próba także by się nie powiodła, lecz obróciła przeciwko niemu.

– A więc nie? – powiedział myśliwy. – Mimo to jestem przekonany, że pan nas znasz. Przynajmniej musiałeś pan usłyszeć nasze nazwiska. Opowiadał kiedyś panu o Hobble Franku? Oto on przed panem, we własnej osobie.

– Nie znam ani tego człowieka, ani jego nazwiska – warknął oficer.

– Ale o Długim Davym i Grubym Jemmym pan słyszałeś?

– Tak, czy to są ci dwaj?

– W istocie.

– *Pshaw!* Nie wierzę!

– Znów chcesz mnie pan posądzić o kłamstwo? Daj pan spokój, *sir!* Old Shatterhand może udowodnić każde słowo, które wypowie.

– Old Shat... – zawołał oficer, cofając się o krok i przecierając oczy ze zdumienia. Pozostała część nazwiska myśliwego uwięzła mu w gardle.

Także wśród jego ludzi zapanowało poruszenie, dało się zauważyć zdziwienie albo raczej podziw. Słysząc było kilka głośnych „Ach!”, wypowiedzianych bezwiednie.

– Tak, Old Shatterhand – odpowiedział myśliwy. – Znasz pan to nazwisko?

– Znam. Znamy je wszyscy aż nadto dobrze. I tym człowiekiem pan jesteś? Jesteś nim pan, *sir?*

Jego mina wyrażała wątpliwości, gdy mierzył wzrokiem postać myśliwego. Wtem spojrzenie jego padło na strzelbę o krótkiej lufie z osobliwym kulistym zamkiem. Natychmiast dodał, zmieniając przy tym prędko wyraz twarzy:

– Do kaduka! Czy to nie sztucer Henry’ego, *sir?*

– Niewątpliwie – potwierdził Old Shatterhand. – Znasz pan strzelby tego rodzaju?

– Nie widziałem jeszcze żadnej, ale opisano mi je dokładnie. Wynalazca miał być szczególnego rodzaju dziwakiem i sporządził ich

tylko kilka, bo obawiał się, że Indianie i bizona zostałyby wkrótce wytopieni, gdyby ta szybkostrzelna broń znalazła się w powszechnym użyciu. Tych kilka sztuk zaginęło i tylko Old Shatterhand jest jeszcze w posiadaniu tej jednej jedynej i ostatniej.

– To prawda, *sir*. Z tych jedenastu czy dwunastu sztucerów Henry’ego, jakie w ogóle istniały, pozostał jedynie mój. Inne zginęły na Dzikim Zachodzie wraz ze swymi właścicielami.

– A więc pan jesteś naprawdę... naprawdę... Old Shatterhand. To pan jesteś tym słynnym westmanem, co to rosłego bawołu chwytając rękami za łeb i powala na ziemię, co to najsilniejszego Indianina miażdży gołą pięścią?

– Mówiłem już panu, że to ja. Jeśli jeszcze pan w to wątpisz, to z chęcią dostarczę dowód. Nie tylko Indian, lecz w pewnych okolicznościach także białych częstuję moją pięścią. Chcesz pan dostać?

Nachylił się w siodle do oficera i zamierzył zaciśniętą pięścią jak do ciosu. Ten jednak prędko się cofnął i zawołał:

– Dziękuję, dziękuję, *sir*! To ja już wolę panu uwierzyć, niż do czekać się tego dowodu. Mam tylko tę jedną, jedyną czaszkę, a jeśli by mi ją kto rozłupał, to nie wiedziałbym skąd wziąć drugą. Niech mi pan wybaczy, że wcześniej nie byłem nazbyt grzeczny! Mamy wszelkie powody, by niektórym ludziom nie ufać. Czy nie byłby pan tak dobry i udał się z nami? Moi towarzysze nie tylko bardzo by się ucieszyli, lecz także uważaliby to za zaszczyt, gdyby zechciał pan być naszym gościem.

– Dokąd mamy jechać?

– Do Fort Mormon, dokąd i my się udajemy.

– Niestety, nie mogę przyjąć pańskiego zaproszenia, bo musimy jechać w kierunku przeciwnym, aby spotkać się o oznaczonym czasie z przyjaciółmi.

– Jest mi szczerze żal. Czy wolno spytać, dokąd jedziecie, *sir*?

– Najpierw ku Elk Mountains, jak już panu mówiłem, stamtąd zaś chcemy dotrzeć do Book Mountains.

– To muszę pana ostrzec – powiedział oficer, przyjąwszy ton tak uniżony, jakby miał przed sobą jakiego wysokiego przełożonego.

– Dlaczego? Przed czym albo przed kim?

– Przed czerwonoskórami.

– Dziękuję! Nie muszę bać się Indian. Poza tym nie mam pojęcia, jakież to niebezpieczeństwo mogłoby mi grozić z ich strony. Czerwonoskórzy żyją teraz w pokoju z białymi, a zwłaszcza Jutowie, z którymi można spotkać się w tej okolicy. To plemię od lat nie uczyniło nic takiego, co mogłoby wzbudzić wobec nich nieufność.

– Zgadza się, lecz właśnie dlatego tym bardziej są rozwścieczeni. Bardzo dobrze wiemy, że niedawno wykopali topór wojenny, dlatego jeździmy ustawicznie jako patrol od Fort Mormon do Indian Fort.

– Rzeczywiście? Nic o tym jeszcze nie wiemy.

– Nie wątpię. Przybywacie z Kolorado, dokąd jeszcze te wieści nie dotarły. Wasza droga prowadzi przez obszar Jutów. Wiem, że nazwisko Old Shatterhand ma wielką moc pośród wszystkich indiańskich plemion. Proszę jednak nie traktować tego zbyt lekko, *sir!* Jutowie mają doprawdy wszelkie powody ku temu, by okazać białym swą wściekłość.

– Dlaczego?

– Jakaś banda białych poszukiwaczy złota napadła nocą na jedno z obozowisk Jutów, aby im zrabować konie. Jutowie obudzili się jednak i zaczęli się bronić, lecz znacznie lepiej uzbrojeni biali wielu z nich położyli trupem i uszli z końmi i innymi zagrabionymi przy tej sposobności dobrami. Jednak rano czerwonoskórzy puścili się za nimi w pogoń. Rabusie zostali doścignięci, wywiązała się walka, która znów kosztowała wiele istnień ludzkich. Zastrzelono przy tym blisko sześćdziesięciu Indian, ale też tylko sześć bladych twarzy zdołało ująć z życiem. Teraz Jutowie krążą po okolicy, chcąc znaleźć tych sześciu białych pozostałych przy życiu, a jednocześnie wysłali poselstwo do Fort Union<sup>1</sup> z żądaniem odszkodowania. Za każdego konia żądają w zamian innego, za utracone dobra razem tysiąc dolarów, a za każdego zabitego Indianina po dwa konie i strzelbę.

---

<sup>1</sup> *Fort Union* – osada forteczna na głównym obszarze handlowym i terenie wczesnego osadnictwa w Salt Lake Valley w stanie Utah, zbudowana w 1847 r. w strategicznym punkcie, gdzie skarpa po obu stronach doliny Little Cottonwood Creek tworzy wąskie przejście ku wyżej położonej dolinie i znajdującym się za nim Little Cottonwood Canyon.

– Wcale niedrogo, moim zdaniem. Czy zgodzono się na te żądania?

– Nie. Biali ani myślą przyznawać czerwonoskórym prawa do jakichkolwiek żądań. Poselstwo wróciło do domu, nic nie wskórawszy, i wskutek tego zostały wykopane tomahawki. Plemię Jutów powstało jak jeden mąż, a ponieważ na tym terytorium nie mamy, niestety, dosyć wojska, aby ich móc pokonać w pierwszym starciu, więc obejrzano się za sprzymierzeńcami. Kilku oficerów udało się do Nawahów<sup>1</sup>, aby ich pozyskać przeciw Jutom, co im się też powiodło.

– A co ofiarowano Nawahom za pomoc?

– Wszystko, co zdobędą.

Usłyszawszy te słowa, Old Shatterhand spochmurniał i odrzekł, kiwając głową:

– A więc najpierw Jutowie zostali napadnięci i obrabowani, i wielu z nich zabito, następnie, kiedy żądali ukarania zbrodniarzy i odszkodowania, odepchnięto ich, a gdy sprawę tę ujęli w swe ręce, podszczuwa się na nich Nawahów i płaci tym ostatnim zdobyczymi zagrabionymi pokrzywdzonym! I czyż można się tu dziwić, że to popchnęło Jutów do ostateczności? Ich rozgoryczenie musi być straszliwe. Biada więc teraz białemu, który wpadnie im w ręce!

– Ja mam tylko słuchać rozkazów i nie mam prawa wydawać swych sądów. Powiedziałem panu o tym, chcąc pana ostrzec, *sir*. Moje poglądy nie muszą być pańskimi.

– Rozumiem. Przyjmij pan moje podziękowanie, a jeśli opowiesz pan w forcie o spotkaniu z nami, to dodaj pan jeszcze, że Old Shatterhand nie jest wrogiem czerwonoskórych i żywo ubolewa nad tym, że pełen zdolności i talentów naród musi ginąć dlatego, że nie dano mu czasu na naturalny rozwój, zgodny z prawami cywilizacyjnej ewolucji,

---

<sup>1</sup> *Nawahowie* (Nawaho, ang. Navajo Nation, w języku navajo: Naabeehó Dine'é) – największe plemię indiańskie Ameryki Północnej liczące ponad 330 tys. osób (wg danych statystycznych z 2010 r.); większość z nich (około 173 tys.) zamieszkuje rezerwat położony na terenie stanów Arizona, Nowy Meksyk oraz Utah, będący zarówno pod względem liczby mieszkańców jak i powierzchni największym rezerwatem Indian w USA; podczas II wojny światowej meldunki kodowane przez szyfrantów z plemienia Nawahów (a także Indian z kilku innych plemion) przy pomocy nieznanego Japończykom własnego języka pozwoliły Amerykanom na zachowanie tajności kluczowych operacji wojskowych na Pacyfiku.

lecz żąda się od niego, aby w okamgnieniu z narodu myśliwskiego przekształcił się w nowożytnie państwo. Z taką samą zupełnie słusznością można zabić sztubaka<sup>1</sup> za to, że nie posiada dostatecznie sprytu i wiadomości, aby zostać generałem albo profesorem astronomii. *Good bye, sir!*

Zawrócił konia i odjechał ze swymi trzema towarzyszami, nie rzucając już nawet okiem na żołnierzy, żegnających go spojrzeciami pełnymi urazy. Uniesiony gniewem wypowiedział Old Shatterhand te ostatnie i, jak zresztą wiedział, daremne słowa. Tym bardziej pogrążył się teraz w milczeniu, gdyż rozmyślał nad tym, że na próżno przekonywać i pouczać „brata Jonatana”<sup>2</sup>, że nie ma on większego prawa do istnienia, aniżeli Indianin, którego pędzą z miejsca na miejsce, szczują jak zwierzę, aż ten, co łatwo przewidzieć – zewsząd osaczony – nawet śmiercią swoją nie wzbudzi współczucia.

Minęło pół godziny, wreszcie Old Shatterhand otrząsnął się z zadumy, aby zwrócić baczniejszą uwagę na widnokraj, który przybrał teraz kształt ciemnego, coraz bardziej rozszerzającego się pasma. Wyciągnąwszy rękę ku niemu, powiedział:

– Tam jest las, o którym mówiłem. Użyjcie ostróg, a po pięciu minutach będziemy na miejscu.

Należy wspomnieć, że formy grzecznościowe między nim a jego trzema towarzyszami ukształtowały się w ten sposób, że myśliwy zwracał się do nich poufałym „ty”, oni zaś pełnym szacunku „pan”, a gdy mówili po angielsku, pozostawali przy zwyczajowym *You*. Żaden z nich nie pozwoliłby się komukolwiek zlekceważyć lub nawet obrazić, jednak stawiać się na równi z Old Shatterhandem – tego nie byli w stanie uczynić.

Puszczono konie galopem i wkrótce czterej jeźdźcy dotarli do wysokiego i gęstego lasu świerkowego, którego skraj zdawał się tak obfity w zarośla, że nie było mowy o przebyciu go konno. Jednak Old Shatterhand wnet znalazł radę. W wybranym miejscu, wparłszy konia

---

<sup>1</sup> *Sztubak* – dawn.: uczeń gimnazjum lub szkoły średniej; uczniak.

<sup>2</sup> *Jonatan* – przezwisko, określające Amerykanów, szczególnie mieszkańców najstarszych kolonii Nowej Anglii.

w skąpe poszycie, znalazł się na tak zwanej ścieżce indiańskiej, szerokości może trzech stóp, którą wydeptali wędrujący tu czasem czerwonoskórzy. Westman najpierw zsiadł z konia, aby poszukać na niej nowych śladów, kiedy ich jednak nie znalazł, dosiadł z powrotem wierzchowca i wezwał towarzyszy, aby szli za nim.

Tu, w owym tajemniczym, dziewiczym lesie, nie zawiął najlżejszy wiaterek, a poza stąpaniem koni żaden dźwięk nie zakłócił ciszy. Old Shatterhand trzymał w prawej ręce sztucer gotowy do strzału i patrzył bacznie przed siebie, aby przy ewentualnym spotkaniu z nieprzyjacielem być pierwszym, który złoży się do strzału. Był jednak przekonany, że nie ma teraz takiego niebezpieczeństwa. Jeśli czerwonoskórzy przemierzali konno tę okolicę, to było ich tylu razem, że z pewnością nie szukali takiej ścieżki, gdzie niczego nie mogliby odkryć, a gęstwina leśna tylko utrudniałaby ich ruchy. Na ścieżce było niewiele bowiem miejsca, gdzie by jeździec mógł zawrócić konia. Cała gromada Indian jadących konno, byłaby w razie ataku bezbronna wobec kilku raptem pieszych napastników.

Po dłuższym czasie droga wyprowadziła jeźdźców na polanę, pośrodku której leżało sporo wielkich bloków skalnych, spiętrzonych wysoko jeden na drugim. Były pokryte mchem, a w szparach między nimi krzaki znalazły dość oparcia dla swych korzeni. Tu zatrzymał się Old Shatterhand, mówiąc:

– Oto miejsce, na którym możemy dać koniom mały wypoczynek i upiec nasze pieski periove. Jak widzicie, jest też tutaj woda.

Spod kamieni wypływało małe źródółko, które wiło się przez polanę i ginęło w lesie. Jeźdźcy zsiadli z koni, wyjęli im z pysków wędzidła, aby mogły skubać trawę, a potem poszukali suchych gałęzi na ognisko. Jemmy podjął się ściągnąć z psów periowych skórę i wypatroszyć je, a Old Shatterhand oddalił się, aby sprawdzić, czy miejsce jest bezpieczne.

Las bowiem można było przebyć może w trzy kwadransy, a przecinała go wszczepiona owa ścieżka indiańska. Polanka leżała mniej więcej pośrodku lasu.

Niezadługo nad ogniem piekło się mięso, a po polance rozszedł się całkiem przyjemny zapach. Wkrótce powrócił Old Shatterhand. Do-

tarł szybko do przeciwnego skraju lasu, skąd roztaczał się widok daleko na otwartą prerię. Oko jego nie spostrzegło nic podejrzanego, toteż wrócił do towarzyszy z zapewnieniem, że nie należy się obawiać żadnej niespodzianki.

Po godzinie pieczeń była gotowa i Old Shatterhand wziął jej sobie kawałek.

– Hm! – mruczał Hobble Frank. – Jeść psią pieczeń! Gdyby kiedy komuś przyszło na myśl powiedzieć mi, że będę zjadał mięso najwierniejszego przyjaciela człowieka, to dałbym mu taką odpowiedź, że by mu włosy stanęły dęba na głowie. Ale jestem głodny i muszę go skosztować.

– To przecież nie jest pies! – przypomniał mu Jemmy. – Słyszałeś, że świstak otrzymał zupełnie fałszywie nazwę pieska preriowego ze względu na swój głos.

– To sprawy na lepsze nie zmienia, owszem, to ją raczej pogarsza. Pieczeń ze świstaka! Kto by pomyślał? Człowiek jest przecież stworzony do spożywania porządných potraw. No, zobaczymy!

Uciał sobie kawałek pieczonej piersi i ociągając się, spróbował. Zaraz jednak twarz mu się rozjaśniła. Wsadził większy kawałek mięsa do ust i oświadczył, żując:

– Rzeczywiście, wcale niezłe, na honor! Smakuje naprawdę niemal jak królik, chociaż nie jest tak doskonałe, jak pieczeń z kozłęcia. Dzieci, myślę, że z tych dwu piesków niewiele pozostanie.

– Musimy schować coś na wieczór – ostrzegął Davy. – Nie wiemy przecież, czy dziś jeszcze coś upolujemy.

– Nie martwię się tym, co będzie później. Jeśli tylko będę mógł rzucić się w objęcia Orfeusza<sup>1</sup>, to niczego nadto nie żądam.

– Morfeusza<sup>2</sup> – poprawił go Jemmy.

– Siedź cicho! Chyba mojemu Orfeuszowi nie zechcesz przypisać jakiegoś „M” z przodu! Znam go bardzo dobrze. U nas na wsi,

---

<sup>1</sup> *Orfeusz* – w mitologii greckiej syn muzy Kaliope, mąż Eurydyki, poeta i pieśniarz, słynny z cudownej mocy swej muzyki.

<sup>2</sup> *Morfeusz* – w mitologii greckiej bóg marzeń sennych, syn Hypnosa. najczęściej wyobrażany jako postać skrzydlata; związek frazeologiczny „znaleźć się/być/spocząć w objęciach Morfeusza” – zasnąć, pogrążyć się we śnie, spać.



w Klotzsche<sup>1</sup> pod Moritzburgiem istniał związek śpiewacki, który nazywał się „Orfeusz na ziemi”. Te hultaje śpiewały tak przyjemnie, że słuchacze zapadali zawsze w bardzo miły sen. Dlatego stamtąd, to znaczy z Klotzsche, pochodzi owo przysłowie o wpadaniu w objęcia Orfeusza. Nie kłóć się przeto ze mną, lecz zajadaj pieska preriowego w pobożnym milczeniu, wtedy będzie ci lepiej smakował, niż gdybyś się spierał z człowiekiem o takim doświadczeniu, jak ja! Wiesz przecież, że ze mnie dobry chłop, ale gdy mnie kto w czasie posiłku nabiera na Morfeusza, to mogę się zdesperować i zburzyć!

– Chyba zdesperować i oburzyć?! – mruknął Jemmy.

Old Shatterhand, pragnąc posiłek spożyć w spokoju, skinął Jemmy’emu, by ten zamilkł. Nie mógł jednak zapobiec innemu zakłóceniu, którego źródłem wcale nie był mały, drażliwy Hobble Frank.

Gdy owym czterem mężczyznom siedzącym przy ognisku zdało się, że mogą się czuć bezpiecznie, byli w grubym błędzie, bo oto zbliżało się niebezpieczeństwo w postaci dwu oddziałów, które skierowały się również w stronę lasu.

Jeden z oddziałów był mały, a składał się tylko z dwu jeźdźców, którzy nadjeżdżali od północy. Natknąwszy się na ślady Old Shatterhanda i jego towarzyszy, zatrzymali się i zeskoczyli z koni, aby zbadać trop. Sposób, w jaki się do tego zabrali, kazał się domyślać, że nie byli niedoświadczonymi westmanami. Mieli dobrą broń, lecz ich odzież była mocno zniszczona. Pewne oznaki pozwalały przypuszczać, że w ostatnim czasie nie mieli zbyt wiele szczęścia. Co się tyczyło ich koni, te były dobrze odżywione i żwawe, jednak pozbawione siodła i uzdy, miały tylko wędzidła z rzemieni. Tak zwykły się paść konie Indian w pobliżu obozu.

– Co myślisz o tych śladach, Knox? – zapytał jeden. – Czyżbyśmy mieli przed sobą czerwonoskórych?

– Nie – odpowiedział zapytany pewnym tonem.

– A więc to biali! Skąd ten wniosek?

---

<sup>1</sup> *Klotzsche* – osada utworzona przez Słowian; po raz pierwszy wzmianka o niej pojawiła się w 1309 r., prawa miejskie uzyskała w 1935 r., a od 1950 r. stanowi dzielnicę Drezna, znajdującą się w północnej części miasta, oddaloną ok. 7 km od centrum.



- Co myślisz o tych śladach, Knox? - zapytał jeden.  
- Czyżbyśmy mieli przed sobą czterwoskórcy?

– Konie są podkute, a ludzie ci jechali nie jeden za drugim, jak to robią Indianie, lecz obok siebie.

– A ilu ich jest?

– Tylko czterech. Nie mamy się więc czego obawiać, Hilton.

– Chyba że to żołnierze!

– *Pshaw!* Nawet wtedy nie. W żadnym razie nie powinniśmy się naturalnie pokazywać, bo tam zwykle jest tak dużo oczu i tak wypytują, że z pewnością byśmy się zdradzili. Ale czterech kawalerzystów! Ci zapewne niczego z nas nie wydostaną. A zresztą, z jakich to powodów mieliby nabrać podejrzenia, że należymy do tych białych, którzy napadli na Jutów?

– Wprawdzie i ja tak myślę, ale często diabli nawarzą licha, że się ani nie spodziewasz. Znajdujemy się w nędznym położeniu. Szczuci przez czerwonoskórych i tropieni przez żołnierzy, błakamy się wte i wewte po ziemi Jutów. Co za głupota z naszej strony, że uwierzyliśmy temu rudemu Cornelowi i jego bandzie trampów, gdy obiecywali nam góry złota.

– Głupota? Oczywiście, że nie. Szybko się wzbogacić to przecież bardzo dobra rzecz i ja nieprędko jeszcze w to zwątpię. Wkrótce nadjedzie Cornel z resztą swych kompanów, a wtedy nie będziemy się już martwić.

– Jednak do tego czasu wiele się może zdarzyć.

– Z pewnością. Musimy spróbować wydostać się z tarapatów. Gdy się nad tym zastanawiam, to widzę dla nas tylko jedną drogę, a ta się nam właśnie teraz otwiera.

– Jaką?

– Musimy znaleźć jakichś białych, aby się do nich przyłączyć. W ich towarzystwie będziemy uchodzić za myśliwych i nikomu nie przyjdzie nawet na myśl szukać związku między nami a tymi, którzy zmusili Jutów do wykopania topora wojennego.

– I sądzisz, że takich właśnie ludzi mamy przed sobą?

– Tak myślę. Siedzą pod lasem. Przyjrzyjmy się im.

Pojechali w stronę lasu, trzymając się śladów Old Shatterhanda i rozprawiając przy tym o swoich przygodach i planach. Z ich słów wynikało, że są sprzymierzeńcami rudego Cornela.

Ten zaś starał się powiększyć swój oddział, który, jak wiadomo, składał się z dwudziestu trampów, rozbitków spod Eagletail. Cornel doszedł do przekonania, że w górach oddział jego zostanie prawdopodobnie mocno przetrzebiony przez Indian, a więc dwudziestu ludzi będzie stanowczo za mało. Dlatego, jadąc przez Kolorado, ściągał do siebie każdego, kto do tego okazał chęć. Naturalnie, byli to wyłącznie ludzie pozbawieni wszelkiego zajęcia, w których na próżno by szukać śladów moralności. Pomiędzy nimi znajdowali się także Knox i Hilton, zmierzający teraz w stronę lasu. Banda Cornela wkrótce tak się powiększyła, że musiała na siebie zwracać uwagę, a nakarmienie jej stawało się z dnia na dzień coraz trudniejsze. Dlatego Cornel powziął postanowienie podzielenia jej. Z jedną połową miał sam przejść w okolicy La Veta<sup>1</sup> przez Góry Skaliste, reszta miała się zwrócić ku Morrison<sup>2</sup> i Georgetown<sup>3</sup>, aby tam przejść przez masyw górski. Ponieważ Knox i Hilton byli ludźmi doświadczonymi, przeto oni mieli kierować drugim oddziałem. Było to zadanie, które chętnie wzięli na siebie. Przebyli szczęśliwie góry i zatrzymali się w okolicy Breckenridge<sup>4</sup>. Tam spotkało ich nieszczęście: spłoszone stado koni pewnego *haciendero*<sup>5</sup> zbiegło w dzikim pędzie koło nich. Zerwały się przy tym ich własne wierzchowce i uciekły z tamtymi. Chcąc zdobyć nowe, napadli na obóz Jutów, lecz Indianie doścignęli ich i pobili. Tylko sześciu z nich uszło z życiem, ale czerwonoskórzy niezmordowanie deptali im po piętach. Czterech padło jeszcze poprzedniego dnia i tylko przywódcom, Knoxowi i Hiltonowi, udało się ująć strzałom mściwych wojowników.

O tym rozmawiali zbliżając się do lasu. Przybywszy do niego, znaleźli ścieżkę indiańską, którą podążyli. Na polanę dotarli właśnie

---

<sup>1</sup> *La Veta* – miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Kolorado, w hrabstwie Fremont.

<sup>2</sup> *Morrison* – miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Kolorado, w hrabstwie Jefferson.

<sup>3</sup> *Georgetown* – miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Kolorado, siedziba administracyjna hrabstwa Clear Creek.

<sup>4</sup> *Breckenridge* – miejscowość w Stanach Zjednoczonych, w stanie Kolorado, położona w hrabstwie Summit wśród szczytów Gór Skalistych.

<sup>5</sup> *Haciendero* (hiszp.) – właściciel hacjendy, czyli dużego gospodarstwa rolno-hodowlanego lub posiadłości wiejskiej; określenie pochodzące z Hiszpanii i Ameryki Łacińskiej, oznaczające także same zabudowania (zarówno mieszkalne, jak i gospodarcze) w tym gospodarstwie lub posiadłości.

w tej chwili, kiedy zakończył się pojedynek słowny między Jemmy i Hobble Frankiem.

Ujrzawszy towarzystwo siedzące przy ognisku, zatrzymali się na chwilę, lecz uznali natychmiast, że ze strony tych ludzi nie spotka ich nic złego.

– A więc jesteśmy myśliwymi, zgoda? – szepnął Knox do Hiltona.

– Tak – odpowiedział Hilton – ale oni zapytają, skąd przybywamy!

– Pozwól, że tylko ja będę z nimi mówić!

Old Shatterhand teraz dopiero ich zobaczył. Kto inny by się przestraszył, lecz jemu strach był obcy. Wziąwszy do rąk sztucer, patrzył na nich skupiony i poważny, czekając aż się zbliżą.

– *Good day*, panowie! – powitał ich Knox. – Czy pozwolicie nam nieco przy was wypocząć?

– Każdy uczciwy człowiek jest nam miły – odpowiedział Old Shatterhand, spojrzawszy badawczo najpierw na jeźdźców, a potem na konie.

– Mam nadzieję, że nie myślisz pan o nas inaczej! – odparł Hilton, wytrzymując na pozór zupełnie spokojnie przenikliwe spojrzenie myśliwego.

– Ja wydaję sądy o ludziach dopiero wtedy, gdy ich poznam.

– No, to niech pan pozwoli, że damy mu do tego sposobność!

Zeskoczywszy z koni, usiedli przy ognisku. Byli w każdym razie głodni, bo rzucali dość tęskne spojrzenia na pieczeń. Dobroduszny Jemmy podsunął im kilka kawałków mięsa i poprosił, aby zjedli. Nie trzeba im było tego dwa razy powtarzać. Teraz grzeczność zabraniała, by zadawać im jakiegokolwiek pytania, dlatego minął dłuższy czas w milczeniu, aż się nasycili.

\*\*\*

Drugi ze wspomnianych oddziałów, zbliżający się z przeciwnej strony do lasu, stanowiła gromada około dwustu Indian. Old Shatterhand był wprawdzie po tej stronie lasu i rozejrzał się stamtąd po prerii, lecz nie mógł jeszcze dojrzeć nadjeżdżających czerwonoskórych, bo w tym czasie byli oni zasłonięci wystającym skrawkiem lasu. Ci musieli również dobrze znać okolicę, bo zmierzali wprost ku wyjściu wąskiej ścieżyny, którą biali dostali się na polanę.

Indianie znajdowali się na wojennej ścieżce, jak wskazywały jaszkrawe barwy, którymi pomalowali twarze. Większość nosiła broń palną, a tylko niewielu było uzbrojonych w łuki i strzały. Na ich czele jechał olbrzym, który był widocznie wodzem, bo miał orle pióro wpięte we włosy. Wieku jego nie można było rozpoznać pod pokrywającymi całą twarz czarnymi, żółtymi i czerwonymi kreskami. Stanąwszy na ścieżce, zsiadł z konia, aby ją zbadać. Wojownicy, jadący na przodzie, zatrzymawszy się za jego przykładem, przypatrywali się z napięciem jego poczynaniom. Wtem jeden z koni parsknął. Wódz podniósł ostrzegawczo rękę, a jeździec położył zwierzęciu dłoń na nozdrzach. Wódz musiał zauważyć coś podejrzanego, skoro nakazał większą ciszę. Powoli, krok za krokiem, pochylony głęboko ku ziemi, postępował dalej w las ścieżką. Kiedy po chwili powrócił, odezwał się cicho w języku Jutów, będącym częścią szoszońskiej<sup>1</sup> grupy języków tonalnych<sup>2</sup>.

– Błada twarz była tu przed czasem, którego potrzebuje słońce do przebycia drogi jednej piędzi<sup>3</sup>. Niech wojownicy ukryją się ze swymi końmi pod drzewami. Ovuts Avaht pójdzie poszukać bladej twarzy.

Wódz, Ovuts Avaht, co znaczy „Wielki Wilk”, niemal wyższy, szerszy i silniejszy od Old Firehanda, poczołgał się z powrotem do lasu. Kiedy powrócił może po upływie pół godziny, ludzi jego nie było widać. Gwizdnął jednak cicho i natychmiast czerwonoskórzy wyszli spod drzew, pozostawivszy tam konie. Na dany znak podeszło do niego pięciu czy sześciu poddowódców.

---

<sup>1</sup> *Szoszoński* – język należący do rodziny językowej uto-azteckiej (rodzina języków rdzennej ludności Ameryki Północnej i Środkowej, obejmująca 61 języków, którymi posługują się łącznie prawie 2 miliony użytkowników; do grupy uto-azteckiej zalicza się między innymi język nahuatl używany przez prekolumbijską cywilizację Azteków, a współcześnie przez ponad 1,6 miliona osób w Meksyku oraz język hopi w Arizonie), używany przez Szoszonów – plemię Indian Ameryki Północnej, znane też jako Wężę (ang. Snakes).

<sup>2</sup> *Język tonalny* – język, w którym każda sylaba ma przypisany pewien ton, polegający na odpowiedniej modulacji głosu; najczęściej języków tonalnych występuje w Azji Południowo-Wschodniej oraz w zachodniej Afryce, np. tajski, wietnamski, języki chińskie.

<sup>3</sup> *Piędź* – dawna jednostka miary długości równa około ośmiu calom, odpowiadająca odległości pomiędzy kciukiem a środkowym bądź małym palcem rozłożonej dłoni.

– Sześć białych twarzy obozuje pod skałą – odezwał się do nich. – To jest z pewnością tych sześciu, którzy wczoraj uciekli. Jedzą mięso, a konie pasą się przy nich. Niech moi bracia pójdą za mną aż tam, gdzie kończy się ścieżka. Potem niech się rozdziela: połowa poczłoga się na prawo, a inni na lewo, aż polana zostanie otoczona. Wtedy dam znak, a czerwoni wojownicy niechaj wyskoczą. Białe psy tak się przerażą, że wcale nie będą się bronić, my zaś pochwycimy ich i zawlecemy do wsi, aby ich przywiązać do pala męczeństwa. Pięciu ludzi pozostanie, aby pilnować koni. *Howgh!*

To ostatnie słowo było wzmocnieniem i zwieńczeniem wypowiedzi i miało znaczenie mniej więcej takie, jak nasze „amen” albo „basta!”. Kiedy Indianin je wypowie, uważa przedmiot rozmowy za całkiem wyczerpująco omówiony i załatwiony.

Z wodzem na czele Indianie weszli bezszelestnie po ścieżce w las. Szli tak cicho, że nie było słyhać najmniejszego dźwięku. Kiedy dotarli do miejsca, gdzie droga wychodziła na polankę, rozeszli się na obie strony, aby otoczyć to miejsce. Jeździec nie wdarłby się do lasu, jednak dla zwinnych sylwetek Indian i na piechotę było to możliwe.

Biali właśnie skończyli posiłek. Hobbles Frank wetknął nóż Bowie’ego za pas i odezwał się, naturalnie w języku angielskim, aby być zrozumianym przez dwu nowo przybyłych:

– No, podjedliśmy sobie, a konie wypoczęły, możemy więc ruszyć w dalszą drogę, aby jeszcze przed nocą dotrzeć do celu.

– Tak – zgodził się Jemmy – ale przedtem musimy się koniecznie zapoznać i dowiedzieć, dokąd zmierzamy.

– Słusznie – potwierdził Knox. – A więc, czy możemy się dowiedzieć, jakie to miejsce chcecie jeszcze dzisiaj osiągnąć?

– Jedziemy do Elk Mountains.

– My także. To się znakomicie składa. Możemy jechać razem.

Old Shatterhand nie powiedział ani słowa. Dał tylko Jemmy’emu ukradkiem znak, aby przepytował ich dalej, ponieważ on sam chciał mówić dopiero wtedy, gdy uzna, że nadszedł jego czas.

– Będzie mi bardzo miło – odpowiedział grubas – ale dokąd się potem udacie?

– Tegośmy jeszcze nie postanowili. Może nad Green River<sup>1</sup>, aby poszukać bobrów.

– To niewiele znajdziecie. Kto chce łapać tłuste ogony, czyli bobry<sup>2</sup>, ten musi iść dalej na północ. Jesteście więc traperami, łowcami bobrów?

– Tak. Ja nazywam się Knox, a mój towarzysz Hilton.

– A gdzie masz pan, *mister* Knox, sidła na bobry, bez których przecież nie możesz ich pan łowić?

– Te skradli nam jacyś złodzieje, chyba Indianie, w dole rzeki San Juan<sup>3</sup>. Może natrafimy na jakie obozowisko, gdzie będziemy mogli kupić nowe. Czy myślisz pan, że możemy się do was przyłączyć w drodze do Elk Mountains?

– Nie mam nic przeciwko temu, jeśli tylko moi towarzysze się zgodzą.

– Dobrze, *mister*! Czy możemy więc poznać wasze nazwiska?

– Dlaczego nie! Mnie nazywają Grubym Jemmym. Mój sąsiad na prawo to...

– ...pewnie Długi Davy? – przerwał szybko Knox.

– Tak. Domyśliłeś się pan tego?

– Naturalnie! Jesteście znani jak kraj długi i szeroki, a gdzie znajduje się Gruby Jemmy, tam nie potrzeba długo szukać Długiego Davy'ego. A ten mały *mister* tutaj, po pańskiej lewej ręce?

– Tego nazywamy Hobbler Frankiem. Świetne chłopisko, poznać go jeszcze.

Frank obrzucił Jemmy'ego ciepłym i wdzięcznym spojrzeniem, a ten ciągnął dalej:

---

<sup>1</sup> *Green River* – rzeka o długości 1175 km w amerykańskich stanach Utah, Kolorado i Wyoming; uchodzi do rzeki Kolorado, której jest głównym dopływem.

<sup>2</sup> *Tłuste ogony, czyli bobry* – nazwa pochodząca od płaskiego ogona bobra, zwanego kielnią lub pluskiem, o ostrej krawędzi bocznej, pokrytego zrogowaciałym naskórkim imitującym łuski, spomiędzy których wyrastają rzadkie, krótkie i sztywne włosy układające się ku tyłowi; ogon oprócz pełnienia roli steru i napędu w wodzie, podpory na lądzie, jest również magazynem tłuszczu oraz głównym organem termoregulacji; ze względu na tłuszcz ogon bobra był dawniej wyjątkowym przysmakiem, ponadto tłuszcz z ogona stosowano także do opatrywania ran.

<sup>3</sup> *San Juan* (San Juan River, pol. Rzeka św. Jana) – ważny dopływ rzeki Kolorado w USA, o długości 616 km, płynący przez stany Kolorado, Nowy Meksyk i Utah.



– Ostatnie nazwisko, które panom wymienię, jest w każdym razie jeszcze bardziej znane niż moje. Myślę bowiem, że słyszeliście o Old Shatterhandzie?

– Old Shatterhand? – zawołał uradowany i zaskoczony tym Knox. – Rzeczywiście? Czy to prawda, *sir*, że jesteś pan Old Shatterhandem?

– Dlaczegoż nie miałyby to być prawda? – odparł myśliwy.

– Pozwól mi pan powiedzieć sobie, że bezgranicznie się cieszę, mogąc pana poznać, *sir*!

Po tych słowach wyciągnął ku myśliwemu rękę i rzucił Hiltonowi spojrzenie, którym chciał wyrazić: „Ty! Ciesz się także, bo teraz jesteśmy bezpieczni! Gdy jesteśmy przy tym sławnym człowieku, niczego nie musimy się obawiać”.

Old Shatterhand uśmiechnął się jednak, że nie spostrzegła podanej mu ręki, i odparł zimno:

– Czy naprawdę się cieszą? W takim razie szkoda, że nie mogę podzielać waszej radości.

– Dlaczego nie, *sir*?

– Bo jesteście ludźmi, którzy w ogóle nie mogą sprawić radości.

– Jak pan to rozumiesz? – zapytał Knox, całkowicie zaskoczony tą otwartością. – Przypuszczam, że pan żartuje, *sir*?

– Mówię poważnie. Jesteście obaj krętaczami, a może nawet jeszcze czymś o wiele gorszym.

– Oho! Czy myślisz pan, że zniesiemy spokojnie taką zniewagę?

– Tak. Tak myślę, bo cóż możecie innego uczynić?

– Czy znasz pan nas może?

– Nie. Nie byłoby to zresztą dla mnie wcale zaszczytem.

– *Sir*, stajesz się pan coraz bardziej nieuprzejmy. Udowodnij pan, że jesteśmy oszustami!

– Dlaczego nie? – odpowiedział Old Shatterhand obojętnie.

– To się panu nie uda. Sam pan przecież przyznałeś, że nas pan nie znasz. Nigdy jeszcze nas pan nie widziałeś. Jak chcesz pan udowodnić, że pańskie słowa oparte są na prawdzie?

– *Pshaw!* Nie zadawajcie sobie zbędnego trudu i nie bierzcie, na Boga, Old Shatterhanda za głupca, który da sobie wmówić, że ludzie

waszego pokroju to spokojne bawoły, a nie dzikie kojoty! Zaraz, gdy tylko na was spojrziałem, wiedziałem, coście wy za jedni. A więc zastawialiście sidła na San Juan? Kiedyż to?

– Przed czterema dniami.

– Zatem przybywacie wprost stamtąd?

– Tak.

– Przyjechalibyście więc z południa, a to kłamstwo. Przybyliście tutaj tuż po nas, musielibyśmy więc widzieć was tam na otwartej prerii. Ku północy jednak las tworzy występ i za tym właśnie wystającym krańcem tkwiliście, kiedy ostatni raz rozglądałem się, zanim skręciliśmy na tę ścieżkę. Przyszliście z północy.

– Ależ, *sir*, powiedziałem prawdę. Nie widziałeś nas pan.

– Ja? Ja was nie widziałem? Gdybym miał tak kiepskie oczy, to byłbym już tysiąc razy zgubiony. Nie, tego mi nie wmówicie! A teraz dalej: gdzie macie siodła?

– Skradziono nam!

– A uzdy?

– Także.

– Człowiecze! Czy bierzesz mnie za głupka?! – zaśmiał się Old Shatterhand pogardliwie. – Pewnieście wsadzili siodła i uzdy razem z siodłami na bobry do wody. Że też wam to wszystko razem skradziono? Jakież myśliwy zdejmuje koniowi uzdę? A skąd macie te indiańskie wędzidła?

– Kupiliśmy je od czerwonoskórych.

– A może także i konie?

– Nie – odparł Knox, uświadomiwszy sobie, że nie wolno mu już opowiadać kłamstw aż tak wielkich i bezczelnych.

– A więc Indianie Juta handlują wędzidłami? O tym nie wiedziałem dotąd. A skąd macie konie?

– Kupiliśmy je w Fort Dodge.

– Tak daleko stąd? A ja założylbym się, że te zwierzęta w ostatnich czasach całymi tygodniami przebywały na pastwisku. Koń, który by przyniósł jeźdźca z Fort Dodge aż tutaj, wyglądałby zupełnie inaczej. A jak się to stało, że wasze konie nie są podkute?

– O to musisz pan zapytać handlarza, od którego je kupiliśmy.

– Bzdura! Handlarz! Te zwierzęta wcale nie zostały kupione.

– Jak to?

– Są kradzione!

– *Sir!* – zawołał Knox, chwytając za nóż. Również i Hilton sięgnął ręką do pasa.

– Pozostawcie noże w spokoju, bo inaczej powalę was na ziemię jak kłody! – zagroził Old Shatterhand. – Czy myślicie, że nie poznaję w tych koniach tresury indiańskiej?

– Skądże miałbyś pan to wiedzieć? Przecież nie widziałeś nas pan jadących konno! Zobaczyłeś nas pan na koniach tylko przez krótką chwilę, gdyśmy od ścieżki jechali do tych kamieni! A to chyba nie dość, żeby wydać taki osąd.

– Przecież widzę, że unikają naszych zwierząt, a trzymają się razem. Konie zostały skradzione Jutom, a wy należycie do bandy, która napadła na tych czerwonoskórych biedaków.

Knox nie wiedział już, co ma mówić. Nie dorównywał przenikliwością Old Shatterhandowi. Stało się z nim to, co zwykle dzieje się w podobnych wypadkach z tego rodzaju ludźmi: szukał ucieczki w grubiaństwie.

– *Sir*, wiele o panu słyszałem i miałem pana za zupełnie innego człowieka – powiedział. – Gadasz pan jak nieprzytomny! Kto się upiera przy takim twierdzeniu, jak pańskie, musi być po prostu szaleńcem. Nasze konie i indiańska tresura! Mógłbym umrzeć ze śmiechu, gdybym się nie musiał o to gniewać. Widzę, że nie pasujemy do siebie i odjedziemy, aby nie być zmuszonym wysłuchiwać pańskich kolejnych fantazji.

Wstał, a z nim i Hilton. Jednak Old Shatterhand podniósł się, położył Knoxowi rękę na ramieniu i nakazał:

– Zostajecie!

– Mamy zostać, *Sir*? Czy to rozkaz?

– W istocie.

– Czy masz pan prawo nami tak rozporządzać?

– Tak. Wydam was Jutom, żeby spotkała was kara!

– Ach, rzeczywiście? To byłoby jeszcze bardziej szalone niż indiańska tresura!

Mówił to tonem szyderczym, lecz jego usta drżały i znać było po nim, że nie ma tej pewności siebie, którą z takim trudem stara się okazać.

– Jednak będę mieć tak samo rację, jak miałem co do tresury – odparł myśliwy – ...że wasze konie należą do Jutów... Do wszystkich diabłów! Co to?!

Mówiąc o koniach, skierował na nie swój wzrok i przy tym spostrzegł coś, co przykuło całą jego uwagę. Konie podniosły bowiem nozdrza do góry, kręcąc się na wszystkie strony i wciągając powietrze, po czym, rżąc radośnie, ruszyły ku skrajowi polanki.

– Tak! A co to? – zawołał również Jemmy. – Indianie w pobliżu!

Nieomyślne oko Old Shatterhanda objęło jednym bystrym spojrzeniem grożące niebezpieczeństwo, toteż odpowiedział:

– Jesteśmy otoczeni przez Jutów. Konie zdradziły ich obecność w pobliżu, muszą więc nas teraz zaatakować.

– Co więc zrobimy? – zapytał Davy. – Czy będziemy się bronić?

– Najpierw pokażemy im, że nie mamy nic wspólnego z tymi rozbojnikami. To jest najważniejsze!

Uderzył tak silnie Knoxa w skroń zwinętą pięścią, że ten padł jak kłoda na ziemię, potem taki sam cios otrzymał Hilton.

– A teraz prędko na skałę! – rozkazał Old Shatterhand. – Tam mamy osłonę, której brak tutaj na dole. Musimy poczekać, jak sprawy potoczą się dalej.

Wejście na olbrzymie głazy nie było łatwe, ale w tego rodzaju położeniu podwajają się siły i zwiększają zdolności człowieka: trzy, cztery, może pięć sekund, i czterej myśliwi znaleźli się na górze, gdzie zniknąwszy poza występami i krawędziami, przykucnęli za krzakami.

Od czasu gdy odezwało się rzenie koni indiańskich, aż do tej chwili minęła ledwie minuta. Wódz chciał natychmiast dać znak, by ruszyć do ataku, ale zaniechał tego, zobaczywszy, że jedna z białych twarzy powaliła na ziemię dwie inne. Nie mógł sobie tego wytłumaczyć i zawahał się, a dzięki temu czwórka zyskała tyle czasu, aby dostać się bezpiecznie na skałę.

Teraz Wielki Wilk zadał sobie pytanie, co też należy uczynić w zaistniałych okolicznościach. Stracił okazję, by wziąć białych z zaskoczenia. Siedzieli na górze, a kule i strzały nie mogły ich dosięgnąć, sami natomiast z wysokości skał byli w stanie opanować całą wolną przestrzeń i wysłać kule we wszystkich kierunkach. Dwustu czerwonoskórych przeciwko czterem albo co najwyżej sześciu białym! Zwycięstwo tych pierwszych było pewne, lecz jak je odnieść? Szturmować skały? Było do przewidzenia, że poległoby przy tym wielu Indian. Wojownik, jeśli musi, jest dzielny, śmiały, a nawet zuchwały, ale jeśli może osiągnąć swój cel chytryością bez narażania się na niebezpieczeństwo, to nawet nie przyjdzie mu na myśl ryzykować życia. Wódz więc, gwizdnąwszy, zawołał do siebie poddowódców, aby się z nimi naradzić.

Wynik narady dał się wkrótce widzieć albo raczej słyszeć. Ze skraju polany zabrzmiał donośny głos. Ponieważ polana była szeroka najwyższej na pięćdziesiąt kroków, a odległość między skałami a miejscem, skąd dobiegał ów głos, była o połowę krótsza, czyli dwadzieścia pięć kroków, to można było wyraźnie usłyszeć każde słowo. Był to wódz we własnej osobie, który stojąc na drzewie, wołał:

– Błede twarze są otoczone przez wielu czerwonych wojowników, niechaj przeto zejść na dół!

Wezwanie to było tak naiwne, że żadna odpowiedź nie padła. Wódz powtórzył je jeszcze dwukrotnie, a kiedy i teraz nie doczekał się odpowiedzi, zawołał:

– Jeżeli biali mężowie nie posłuchają, zabijemy ich!

Na to odparł Old Shatterhand:

– Co uczyniliśmy czerwonym wojownikom, że nas otoczyli i chcą nas schwycić?

– Jesteście psami, które zabiły naszych mężów i zrabowały nasze konie.

– Mylisz się! Tylko dwóch z tych drabów jest tutaj. Przyszli dopiero niedawno do nas, a kiedy domyśliłem się, że są wrogami Jutów, powaliłem ich na ziemię. Oni nie umarli, wkrótce się obudzą. Jeśli chcecie ich mieć, to zabierzcie ich sobie.

– Chcesz nas tylko do siebie zwabić, aby nas pozabijać!

– Nie.

– Nie wierzę tobie.

– Kto ty jesteś! Jakie jest twoje imię?

– Jestem Ovuts Avaht, wódz Jutów.

– Słyszałem o tobie. Wielki Wilk jest silny ciałem i duchem. Jest wodzem plemienia Indian dzielnych i sprawiedliwych, co nie mszczą się na niewinnych za zbrodnie winnych.

– Mówisz jak kobieta! Płaczesz z obawy o życie. Nazywasz siebie niewinnym z wielkiej trwogi przed śmiercią. Gardzę tobą! Jak brzmi twoje imię? Jest to pewnie imię starego ślepego psa!

– Czy Wielki Wilk nie jest sam ślepy? Zdaje się, że nie widzi naszych koni! Czy należały do Jutów? Wśród nich jest muł. Czy i ten został im skradziony? Jak może Wielki Wilk uważać nas za konio-kradów? Niechaj spojrzy na mojego karego! Czy Jutowie posiadali kiedykolwiek takie zwierzę? Płynie w nim krew tej rasy, jaką hoduje się tylko dla Winnetou, wielkiego wodza Apaczów i jego przyjaciół. Czy Wielki Wilk pojmuję, że jestem przyjacielem tego słynnego męża? Czy wolno mu posądzać mnie o strach i tchórzostwo? Niechaj wojownicy Jutów posłuchają, czy moje imię jest imieniem psa. Błade twarze zważą mnie Old Shatterhand. W języku Jutów nazywam się Pokai-mu, Zabijająca Ręka.

Wódz nie odpowiedział od razu, a cisza, która teraz nastąpiła, była dowodem, że imię myśliwego wywołało należyte wrażenie. Dopiero po pewnym czasie dał się słyszeć głos Wielkiego Wilka:

– Błada twarz podaje się za Old Shatterhanda, lecz my nie wierzymy tym zapewnieniom. Błada twarz wie, że ten wielki biały myśliwy jest bardzo szanowany przez czerwonych mężów, podaje się więc za niego, aby nas oszukać i uniknąć śmierci. My poznajemy po jej zachowaniu, że nie do niej należy to nazwisko.

– Dlaczego? – zapytał myśliwy.

– Old Shatterhand nie zna trwogi, tobie zaś obawa odebrała odwagę, aby się nam pokazać.

– Gdyby było to prawdą, to wojownicy Jutów byłiby jeszcze bardziej wystraszeni niż ja. Nie pokazuję się wam, bo jest was wielu, wie-

lu uzbrojonych mężów. Ale że wojownicy Jutów kryją się, a ty z nimi, przed czterema tylko mężami? Kto boi się bardziej, ja czy wy? Dowiedę ci, że nie znam obawy. Będziecie mnie widzieć!

Wyszedłszy ze swej kryjówki, wstąpił na najwyższy punkt skały i rozejrzał się powoli dokoła. Stał tam w górze tak swobodnie i odważnie, jakby w pobliżu nie było ani jednej strzelby, z której kula mogłaby go trafić.

– *Ing Pokai-mu, Pokai-mu, howgh!* – zabrzmiało wiele głosów. – To Zabijająca Ręka, to Zabijająca Ręka, tak jest!

Byli to ludzie, którzy zobaczyli go i rozpoznali. Westman nadal stał bez obawy, wołając do wodza:

– Czy słyszysz okrzyki swoich własnych wojowników? Czy teraz wierzysz, że jestem rzeczywiście Old Shatterhandem?

– Tak, wierzę! Twoja odwaga jest wielka. Nasze kule sięgają znacznie dalej, niż ty stoisz. Jakże łatwo mogłaby któraś cię zabić!

– Tak się nie stanie, bo wojownicy Jutów są bohaterami, a nie mordercami. A gdybyście mnie zabili, śmierć moja zostałaby drogo na was pomszczona.

– My nie boimy się zemsty!

– Ona by was dosięgła i pochłonęła, nie pytając o to, czy się jej boicie. Spełniłem życzenie Wielkiego Wilka i pokazałem się, ale dlaczego on pozostaje dalej w ukryciu? Czy obawia się, czy też uważa mnie za skrytobójcę, który pragnie go zabić?

– Wódz Jutów tak nie myśli. On wie, że Old Shatterhand chwytą tylko wtedy za broń, kiedy zostanie napadnięty. On się pokaże.

Wyszedł spoza drzew, tak że widać było całą jego wysoką postać.

– Czy Old Shatterhand jest teraz zadowolony? – zapytał.

– Nie!

– Czego jeszcze żąda?

– Chciałbym pomówić z tobą z mniejszej odległości, aby wygodniej poznać wasze życzenia. Chodź więc bliżej, aż do połowy drogi, a ja zejdem ze skały i wyjdę tobie naprzeciw. Potem usiądziemy, jak przystało dostojnym wojownikom i wodzom, aby się naradzić.

– Czy nie przyjdiesz raczej do nas?

– Nie. Jeden drugiemu okaże szacunek przez to, że wyjdziemy sobie naprzeciw na jednakową odległość.

– To będę siedział na otwartej polanie, bezbronny i wystawiony na strzały twoich ludzi.

– Daję ci słowo, że nic ci się nie stanie. Będą strzelać tylko wtedy, jeśli twoi wojownicy pošlą mi kulę. Wtedy byłbyś naturalnie zgoniony.

– Jeśli Old Shatterhand daje słowo, to można mu ufać, jest ono równie święte dla niego, jak największa przysięga. A więc przyjdę. Jak wielki biały myśliwy będzie uzbrojony?

– Odłożę wszystką moją broń i pozostawię ją tutaj. Tobie jednak wolno robić, co ci się podoba.

– Wielki Wilk nie zhańbi się, okazując mniej odwagi i zaufania. Zejdź więc!

Wódz złożył broń w trawie, tam gdzie stał, i czekał potem na Old Shatterhanda.

– Ważysz się pan na zbyt wiele! – ostrzegął myśliwego Jemmy. – Czy rzeczywiście jesteś pan przekonany, że możesz tak uczynić?

– Tak. Gdyby wódz odszedł na bok, aby się naradzić ze swymi ludźmi, albo dał im jaki rozkaz czy znak, to mógłbym naturalnie powziąć podejrzenie. Ponieważ jednak tego nie uczynił, muszę obdarzyć go zaufaniem.

– A my co mamy tymczasem robić?

– Nic. Skierujcie na wodza strzelby, ale tak żeby tego nie spostrzeżono, i zastrzelicie go natychmiast, gdyby się chciał na mnie rzucić.

Po tych słowach zszedł ze skały. Potem wódz i myśliwy ruszyli powoli ku sobie. Kiedy się zbliżyli, Old Shatterhand wyciągnął rękę do wodza i rzekł:

– Jeszcze nigdy Wielkiego Wilka nie widziałem, ale słyszałem często, że jest w radzie najmędrszym, a w walce najdzielniejszym. Cieszę się zatem, że widzę teraz jego oblicze i że mogę pozdrowić go jako przyjaciela.

Indianin zignorował rękę białego, zmierzył badawczym spojrzeniem jego postać i twarz i odpowiedział, wskazując na ziemię:





– Cieszę się zatem, że widzę teraz jego oblicze  
i że mogę pozdrowić go jako przyjaciela.

– Usiądźmy! Wojownicy Jutów musieli wykopać topory wojenne przeciw bladym twarzom, nie istnieje więc ani jeden biały, którego mógłbym pozdrowić jako przyjaciela.

Usiadł, a Old Shatterhand naprzeciw niego.

Ognisko tymczasem wygasło. Obok tłących się jego popiołów leżeli Knox i Hilton, ciężko ogłuszeni, a może nawet martwi, bo ciągle się jeszcze nie poruszali. Mustang Old Shatterhanda zwietrzył Indian, zanim rozległ się głos wodza, i parszkając schronił się w poblizze skały. Stary muł Davy’ego miał również dobry nos i poszedł za jego przykładem. Konie Franka i Jemmy’ego skorzystały z tej wskazówki i teraz wszystkie cztery zwierzęta stały tuż przy skale, a ich postawa i zachowanie wskazywały, że są zupełnie świadome niebezpieczeństwa, w jakim znaleźli się ich panowie.

Zdawało się, że żaden z obu siedzących naprzeciw siebie nie chce zacząć rozmowy. Old Shatterhand oczekując, patrzył w ziemię tak obojętnie, jakby nic złego nie mogło mu się przydarzyć. Czerwono-skóry jednak nie mógł oderwać badawczego wzroku od białego. Farba, pokrywająca grubą warstwą jego twarz, nie pozwalała widzieć jej wyrazu, ale kącik ust, przeciągnięty szeroko i nieco ku górze, wskazywał, że wyrobił sobie o myśliwym, o którym wiele mówiono, zdanie, które nie dawało się teraz pogodzić z jego wyglądem zewnętrznym. Widać to było, kiedy wreszcie uczynił niemal ironiczną uwagę:

– Sława Old Shatterhanda jest wielka, ale jego postać nie dorosła do niej.

Old Shatterhand był wzrostu więcej niż średniego, jednak w żadnym razie nie wyglądał na giganta. W wyobraźni zaś Indianina był istnym Goliatem. Myśliwy odpowiedział na to, śmiejąc się:

– Co ma wspólnego postać ze sławą? Czy mam może odpowiedzieć wodzowi Jutów w ten sposób: „Postać Wielkiego Wilka jest wielka, ale jego sława i jego dzielność nie rosły z nim równomiernie”?

– To byłoby obelgą – oświadczył Indianin z błyskiem w oczach – po której natychmiast opuściłbym cię, aby wydać rozkaz do rozpoczęcia walki!

– Dlaczego więc pozwalasz sobie na taką uwagę co do mojej osoby? Wprawdzie twoje słowa nie mogą obrazić Old Shatterhanda, ale

zawierają wzdargę, której ścierpieć nie mogę! Jestem co najmniej równie wielkim wodzem jak ty. Będę mówił z tobą uprzejmie i żądam od ciebie takiej samej uprzejmości. To muszę ci powiedzieć, zanim rozpoczniemy naszą rozmowę, bo inaczej nie doprowadzi ona do celu.

Był to winien sobie i swoim trzem towarzyszom, by udzielić czerwonoskóremu tej nauki. Im silniej występował, tym więcej imponował, a od wrażenia, jakie teraz wywoła, zależały ich dalsze losy.

– Istnieje tylko jeden jedyny cel naszej rozmowy i żaden inny – oświadczył Wielki Wilk.

– Jakiż to?

– Wasza śmierć!

– To byłoby morderstwo, bośmy wam nic złego nie uczynili.

– Znajdujesz się w towarzystwie morderców, których ścigamy!

– Wierzysz, że byłem przy tym, gdy nocą na was napadli?

– Nie. Old Shatterhand nie jest koniokradaem. On odwiódłby ich od tych zamiarów.

– To dlaczego traktujesz mnie jednak jak wroga?

– Jechałeś z nimi.

– Nie. To nieprawda! Poślij jednego ze swoich wojowników, aby odszukał nasz ślad. Wkrótce przekona się, że ci dwaj ludzie przyszli dopiero potem i natknęli się na nas.

– To i tak nie zmieni niczego! Błede twarze zaatakowały nas w czasie pokoju, zrabowały nasze konie i zabiły wielu naszych wojowników. Nasz gniew był wielki, lecz nie mniejsza była nasza lojalność. Wysłaliśmy mądrych mężów do wodzów białych, aby zażądać ukarania winnych i wynagrodzenia naszych strat. Wyśmiano ich i odepchnięto. Dlatego wykopaliśmy topory wojenne i poprzysięgliśmy sobie, że dopóki nie dopełni się nasza zemsta, każdy biały, który wpadnie w nasze ręce, zostanie zabity. Tej przysięgi musimy dotrzymać, a ty jesteś białym!

– Ale niewinnym!

– Czy moi wojownicy, których zabito, byli winni jakiego złego uczynku? Żądasz, abyśmy byli bardziej miłośierni niż nasi przeciwnicy i mordercy?

– Ubolewam nad tym, co się stało. Wielki Wilk wie zapewne, że jestem przyjacielem czerwonych mężów.

– Wiem o tym, ale mimo to musisz i ty umrzeć. Kiedy niesprawiedliwe blade twarze, które nie uwzględniły naszych skarg, dowiedzą się, że swoim postępowaniem stały się winne śmierci sprawiedliwych, a nawet Old Shatterhanda, dostaną smutną nauczkę i może na przyszłość będą działać mądrzej i rozważniej!

Brzmiało to groźnie. Indianin mówił zupełnie poważnie. Wniosek, jaki wyciągnął, nie był bynajmniej nielogiczny. Mimo to Old Shatterhand odpowiedział:

– Wielki Wilk myśli tylko o swojej przysiędze, ale nie o jej skutkach. Jeśli nas zabijecie, to po górach i preriach rozlegnie się okrzyk oburzenia i tysiące bladych twarzy wyruszą przeciw wam, aby pomścić naszą śmierć. Zemsta będzie tym sroższa, gdyż zawsze byliśmy przyjaciółmi czerwonych mężów.

– Wy? Nie zaś ty sam? Mówisz także o swych towarzyszach? Kim są te blade twarze?

– Jeden nazywa się Hobble Frank. Nie znasz go zapewne, ale imiona dwóch innych często słyszałeś: są to Gruby Jemmy i Długi Davy.

– Znam ich. Nie widziano nigdy jednego bez drugiego i nigdy też nie słyszałem, aby byli wrogami Indian. Ale właśnie dlatego ich śmierć będzie nauczką dla niesprawiedliwych wodzów białych, którzy niemądrze postąpili, odtrąciwszy naszych posłów. Wasza śmierć jest postanowiona, ale będzie zaszczytna. Jesteście mężami dzielnymi i sławnymi i winniście umrzeć śmiercią tak pełną męczarni, jakie tylko zdołamy wam zadać. Wy zaś poniesiecie ją i powieka wasza nie zadręga, a wieść o tym rozejdzie się po wszystkich krainach. Przez to sława wasza stanie się jeszcze większa, a w Krainie Wiecznych Łowów będziecie zażywać wielkiej czci. Sądzę, że pojmujesz, jakim to jest względem z naszej strony, i będziesz nam za to wdzięczny!

Old Shatterhand bynajmniej nie był zachwycony przyobiecanyimi przez wodza względami. Nie dał jednak tego poznać po sobie i odpowiedział:

– Twój zamiar jest bardzo dobry i to ci się chwali, ale liczne zastępy tych, którzy przyjdą nas pomścić, nie będą ci za to wdzięczne.

- Śmieję się z nich! Niechaj przychodzą!
- Myślisz, że ich zwyciężysz, że będą nieliczne?
- Ovuts Avaht nie ma zwyczaju liczyć swych nieprzyjaciół. Czyż nie wiesz, jak wielka liczba będzie nas wtedy? Zgromadzą się wojownicy Weaverów, Uintów, Yamba, Sampiczów, Pah-wantów, Wiminuców, Elków, Kapotów, Paisów, Taszów, Mauczów i Tabekwaczów. Wszystkie te ludy należą do szczepu Jutów. One zmiażdżą białych wojowników.
- To idź na wschód i policz białych! A jakich dowódców mają! Powstaną przeciw wam nasi mściciele, z których każdy z osobna będzie wart tyle, co wielu, wielu Jutów.
- Kto to będzie?
- Podam ci nazwisko tylko jednego: Old Firehand!
- To bohater. Jest on wśród bladych twarzy tym, czym grizzly między psami preriowymi – przyznał wódz. – Ale ten byłby jedyny, drugiego mściciela nie możesz mi wymienić.
- O, wielu, wielu jeszcze mogę przytoczyć, ale wspomnę tylko jednego: Winnetou, którego chyba znasz.
- Któż by go nie znał! Lecz gdyby był tutaj, musiałby także umrzeć. Jest naszym wrogiem.
- Nie. On ryzykuje i gotów umrzeć za każdego ze swych czerwonych braci.
- Milcz! On jest wodzem Apaczów! Biali czują się za słabi wobec nas. Posłali po Nawahów i podjudzili ich przeciw nam.
- Wiesz już o tym?
- Oczy Wielkiego Wilka są bystre, a uszu jego nie ujdzie żaden szmer. Czy Nawahowie nie należą do szczepu Apaczów? Czyż więc nie musimy uważać Winnetou za naszego wroga? Biada mu, jeśli wpadnie w nasze ręce!
- Wtedy i wam biada! Ostrzegam cię. Mielibyście wówczas przeciw sobie nie tylko białych wojowników, ale także wiele tysięcy wojowników Meskalerów, Lianerów, Xikarillasów, Taronów, Nawahów, Czriguamów, Pilanenjów, Lipanów, Kopperów, Gilasów i Mimbrenjów, którzy wszyscy należą do szczepu Apaczów. Ci pociągnęliby

przeciw wam, a biali nie potrzebowaliby nic robić, tylko spokojnie się przyglądać, jak Jutowie i Apacze wykańczają się nawzajem. Czy rzeczywiście chcesz swym białym wrogom sprawić taką radość?

Wódz, opuściwszy wzrok, odpowiedział po chwili:

– Powiedziałeś prawdę, ale blade twarze napierają na nas ze wszystkich stron. Oni nas zalewają swą liczbą, a czerwony mąż jest skazany na powolną i pełną męczarni śmierć z uduszenia. Czyż więc nie lepiej dla niego prowadzić walkę, aby prędzej umarł i prędzej został wytępiony? Przyszłość, którą mi ukazałeś, nie może mnie powstrzymać, lecz tylko umacnia w tym, aby używać topora wojennego bez żadnej litości i względów. Nie zadawaj więc sobie trudu. Pozostanie tak, jak powiedziałem.

– Że pozwolisz nam umrzeć przy palu męki?

– Tak. Czy poddajesz się losowi, który tobie przedstawiłem w mych słowach?

– Tak – odpowiedział Old Shatterhand z takim spokojem, że aż czerwonoskóry zawołał prędko:

– Oddajcie waszą broń!

– Tego jednak nie uczynimy!

– Powiedziałeś przecież, że chcesz się poddać! – w głosie wodza słychać było zdziwienie.

– Oczywiście, poddać się losowi, który nam obwieściłeś. Lecz co powiedziałeś? Że zabijecie każdą bladą twarz, która wpadnie wam w ręce. Czyż nie tak?

– Tak. Takie były moje słowa – skinął głową Wielki Wilk, zaciekawiony, co na to odpowie Old Shatterhand.

– Dobrze. Zabijcie więc nas, jeżeliśmy wpadli w wasze ręce, co jednak dotąd jeszcze się nie zdarzyło.

– Uff! A może myślisz, że nam umkniesz?

– W istocie.

– To niemożliwe. Czy wiesz, ilu wojowników mam ze sobą? Dwustu!

– Tylko tyłu? Może opowiadał ci już kto kiedy, że większe zgraje daremnie się trudziły, by mnie pojmać albo zatrzymać?

– Ależ dwustu naszych na was tylko czterech! Nie ma takiej szczeliny, przez którą moglibyście nam umknąć!

– To ją zrobimy!

– Zabijemy was!

– Możliwe! Jednak ilu twoich wojowników straciłbyś przy tym? Liczę przynajmniej dwudziestu na każdego mojego towarzysza, ja sam zaś, nim mnie dostaniecie, zastrzelę z pewnością grubo ponad pięćdziesięciu.

Powiedział to z taką pewnością siebie, że czerwonoskóry przyglądał mu się ze zdumieniem a potem, wybuchnąwszy dzikim śmiechem, powiedział, poruszając ręką lekceważąco to do góry to w dół:

– Myśli pomieszały się w twojej głowie. Jesteś odważnym myśliwym, ale jak mógłbyś zastrzelić pięćdziesięciu wojowników?

– Z łatwością. Czy nie słyszałeś jeszcze, jaką broń posiadam?

– Masz podobno strzelbę, z której można strzelać bez przerwy, bez konieczności przeładowania, ale to niemożliwe. Ja w to nie wierzę.

– Czy mam ci pokazać?

– Tak! Pokaż! – zawołał wódz zachwycony, że będzie mógł zobaczyć tę tajemniczą i legendarną broń, o której tyle słyszał.

– A więc każe ją sobie podać i przyniosę ci ją!

Powstawszy, podszedł do skały, aby przynieść sztucer. W obecnym położeniu musiał przede wszystkim starać się o to, aby przerazić i oszłomić Indian mimo ich liczebnej przewagi, a do tego celu najlepiej nadawała się jego strzelba. Wiedział, jak wiele legend na temat tej broni krążyło wśród Indian. Uważali ją za czarodziejską flintę, którą Wielki Manitou dał słynnemu myśliwemu, aby go uczynić niezwykłym.

Jemmy podał sztucer ze skały westmanowi, a ten powróciwszy do wodza, wyciągnął wolno broń ku niemu i rzekł:

– Oto jest strzelba. Weź ją i obejrzyj!

Już czerwonoskóry wyciągnął rękę po broń, ale cofnął się i zapytał:

– Czy może ją dotknąć kto inny prócz ciebie? Jeśli to jest rzeczywiście czarodziejska strzelba, to każdemu, do kogo nie należy, musi grozić niebezpieczeństwo, skoro tylko jej dotknie.

Old Shatterhand musiał wykorzystać ten pomyslny obrót spraw. Jeżeli przyjdzie mu poddać się czerwonoskórym wraz ze swymi towarzyszami, to będzie tak czy owak zmuszony, oddać wszystką broń. W takim przypadku wiele zależało od tego, czy będzie mógł zastrzymać przynajmniej tę jedną strzelbę. Old Shatterhand nie chciał jednak uciekać się do bezpośredniego kłamstwa, odpowiedział więc:

– Nie mogę ci zdradzić jej tajemnicy. Weź ją i sam spróbuj!

Trzymając sztucer w prawej ręce, położył kciuk na bębenu, aby go lekkim, zupełnie niedostrzegalnym ruchem tak obrócić, żeby przy najmniejszym poruszeniu musiał nastąpić strzał. Jego bystre oczy zauważyły grupę kilku czerwonoskórych, którzy z ciekawości opuścili swe stanowiska obronne, i teraz stali obok siebie na skraju polany. Grupa ta tworzyła tak dobry cel, że kula, nawet niezupełnie dokładnie wycelowana, musiała trafić jednego z nich.

Teraz szło tylko o to, czy wódz chwyci za broń, czy też nie. Był wprawdzie mniej przesądny niż inni czerwoskórzy, pozostał jednak nieufny. „Powiniennem wziąć ją do ręki? A może nie powinienem?” Takie oto dwa pytania dały się odczytać z jego oczu patrzących poząddliwie na strzelbę.

Old Shatterhand ujął ją obiema rękami i zbliżył się do wodza, tak że lufa była skierowana dokładnie w grupę Indian. Ciekawość Wielkiego Wilka przewyższała jednak obawę, więc chwycił za strzelbę. Old Shatterhand podał mu ją w taki sposób, że ręka wodza dotknęła bębenu. W tej samej chwili huknął strzał, a tam, gdzie stali Indianie, rozległ się krzyk. Wielki Wilk przerażony upuścił sztucer. Jeden z Indian wołał, że jest ranny.

– Czy ja go zraniłem? – zapytał wódz zmieszany.

– A któż inny? – odpowiedział Old Shatterhand. – To była dopiero przestroga. Przy następnym poruszeniu strzelby sprawa byłaby gorsza. Pozwalam ci dotknąć ją powtórnie, ale ostrzegam cię, kula teraz...

– Nie! Nie! – zawołał wódz, odpychając ją obiema rękami. – To naprawdę zaczarowana strzelba, przeznaczona tylko dla ciebie! Jeżeli weźmie ją kto inny, to wypali i trafi kogoś z jego własnych przyjaciół, a może nawet jego samego. Nie chcę jej! Nie chcę!



– To bardzo mądrze z twojej strony – oświadczył Old Shatterhand poważnie. – Ciesz się, że wypaliła zaledwie raz. Otrzymałeś tylko małą nauczkę. Następnym razem byłoby gorzej. Pokarzę ci, jak ona strzela. Spójrz na ten mały klon nad potokiem. Jest zaledwie na dwa palce gruby, zrobię w nim jednak dziesięć otworów, które będą oddalone od siebie dokładnie na szerokość twojego kciuka.

Podniósłszy sztucer, złożył się, wycelował w klon i nacisnął – raz – trzy – siedem – dziesięć razy. Potem rzekł:

– Idź i zobacz! Mógłbym tak strzelać wielokroć, jednak to wystarczy, aby pokazać tobie, że w ciągu jednej minuty mógłbym trafić w serce pięćdziesięciu twoich wojowników, gdybym tylko zechciał.

Wódz podszedł ku drzewku. Old Shatterhand zobaczył, że mierzył kciukiem odległość otworów. Kilku czerwonoskórych, wiedzionych ciekawością, wyszło ze swych kryjówek i podeszło ku niemu. Skorzystał z tego myśliwy, aby szybko włożyć w bębenek, poruszający się odśrodkowo, nowe naboje.

– Uff, uff, uff! – słyszał okrzyki.

Jeśli dla Indian było prawdziwym cudem już to, że sztucer oddał tyle strzałów bez nabijania, to teraz podziw ich zwiększył się w dwójnasób, gdy zobaczyli, że nie tylko żadna kula nie chybiła, ale że wszystkie przebiły cienki klon dokładnie na szerokość kciuka, jedna nad drugą. Wódz, powróciwszy, usiadł znowu i skinieniem ręki wezwał myśliwego, aby poszedł za jego przykładem. Przez dłuższą chwilę milczał, patrząc w ziemię, wreszcie rzekł:

– Widzę, że jesteś ulubieńcem Wielkiego Ducha. Słyszałem o twojej strzelbie, ale nie mogłem w to uwierzyć. Teraz wiem, że mówiono prawdę.

– Bądź więc ostrożny i rozważ dobrze, co czynisz! Chcesz nas pochwycić i zabić? Spróbuj! Nie mam nic przeciw temu. Jeśli potem policzycie wojowników, którzy padną od moich kul, to w waszej wsi rozlegnie się żałobny lament kobiet i dzieci po zabitych, wtedy jednak nie mnie, lecz sobie będziecie musieli przypisać winę.

– Czy sądzisz, że damy się wystrzelać? Musicie się poddać, chociaż ani jeden strzał nie padnie. Jesteście otoczeni, a nie macie co jeść. Będziemy was oblegać tak długo, aż głód zmusi was do złożenia broni.



Kilku czerwonoskórych, wiedzionych ciekawością,  
wyszło ze swych kryjówek i podeszło ku niemu.

– To możesz długo czekać. Mamy wodę do picia i mięsa pod dostatkiem. Tam stoją nasze zwierzęta, cztery konie, których mięsem możemy się żywić przez wiele tygodni. Ale do tego wcale nie dojdzie, bo przebijemy się przez was. Ja pójdę przodem z moją czarodziejską bronią w ręce i będę słał kulę za kulą, a jak dobrze trafiam, sam przecież widziałeś.

– Będziemy stać za drzewami!

– Czy myślisz, że to was osłoni przed moją czarodziejską flintą? Miej się na baczności! Ty byłąs pierwszy, do którego bym mierzył. Jestem przyjacielem czerwonych mężów i byłoby mi bardzo przykro, gdybym musiał tyłu z was zabić. Już teraz oplakujecie ciężkie straty, a kiedy rozpocznie się walka z białymi żołnierzami i Nawahami, padnie jeszcze wielu, wielu waszych wojowników. Dlatego nie powinniście zmuszać nas, abyśmy siali śmierć w waszych szeregach.

Te poważne słowa odniosły zamierzony skutek. Wódz patrzył długo przed siebie, siedząc nieruchomo jak posąg. Potem wyrzekł prawie z ubolewaniem:

– Gdybyśmy nie przysięgali, że zabijemy każdą bladą twarz, to może pozwolilibyśmy wam odejść, ale przysięgi trzeba dotrzymać!

– Nie! Przysięgę można cofnąć.

– Ale tylko wtedy, gdy pozwoli na to wielka narada.

– To naradźcie się!

– Jak możesz tak mówić! Ja jestem tutaj jedynym wodzem. Z kim mam się naradzać?

Teraz Old Shatterhand doprowadził wodza do tego, że nie nastawał już na ich życie. Kiedy sam już mówił o naradzeniu się, to największe niebezpieczeństwo minęło. Myśliwy znał mentalność czerwonoskórców. Osiągnął teraz zamierzony cel i wiedział, że najmądrzej będzie wodza w niczym nie ponaglać. Dlatego milczał, czekając, co Wielki Wilk dalej powie.

Ten wodził po polanie badawczym wzrokiem. Zastanawiał się naturalnie, czy by nie można było jednak, mimo niebezpiecznej czarodziejskiej strzelby, dostać tych czterech białych w swe ręce. Jego rozmyślenia trwały już dość długo. Wówczas, okazawszy swe zniecierpliwienie, wstając, Old Shatterhand powiedział:

– Wódz Jutów usłyszał teraz wszystko, co mogłem mu powiedzieć. Nie ma już nad czym debatować. Wróć więc teraz do moich towarzyszy. Wielki Wilk może uczynić, co mu się podoba.

– Zaczekaj jeszcze! – odpowiedział prędko czerwonoskóry. – Będziecie nas uważać za tchórzy, jeżeli zaniechamy walki z wami?

– Nie. Ovuts Avaht winien być nie tylko dzielny i odważny, lecz także mądry i ostrożny. Żaden wódz nie może poświęcać daremnie życia swoich ludzi. Ja sam zawsze atakowałem wroga tylko wtedy, kiedy byłem pewien zwycięstwa. Każdy wie, że Wielki Wilk jest dzielnym wojownikiem. Jednak gdybyś pozwolił na to, aby czterech białych zabiło połowę twoich ludzi, przy wszystkich ogniskach opowiadałoby się, żeś postąpił niedorzecznie i że nie jesteś już w stanie poprowadzić do walki wojowników plemienia Juta. Pomyśl o tym, że biali i Nawahowie zbierają się przeciwko wam i są już w drodze. Potrzebujesz twoich wojowników, by zwyciężyć wroga. Byłoby więc największą głupotą, pozwolić na ich bezużyteczną śmierć.

– Masz rację – odpowiedział czerwonoskóry, wzdychając głęboko nad tym, że mając dwustu ludzi przeciw czterem, zmuszony jest czynić ustępstwa. – Ja sam nie mogę cofnąć mojej przysięgi. Może mnie z niej zwolnić tylko zgromadzenie starszych. Dlatego pójdzicie z nami jako jeńcy, aby dowiedzieć się, co postanowi o was rada.

– A co, jeśli będziemy się wzbraniać przed pójściem z wami?

– To będziemy zmuszeni wszcząć walkę i zasypać was gradem kul.

– Ani jedna nas nie trafi. Skały mają dość nisz i uskoków, służących nam za kryjówki. My za to będziemy mogli z góry bezpiecznie i pewnie mierzyć w twoich ludzi z każdej strony i każda nasza kula dosięgnie któregoś z nich.

– Zaczekamy, aż zapadnie mrok i nie będziecie mogli nic widzieć. Potem zakradniemy się do skały, aby przenieść drewno, które podpalamy, a kiedy wstanie słońce, zobaczymy, czyście się udusili, czy też jeszcze żyjecie.

Powiedział to bardzo pewnym głosem, jednak Old Shatterhand odparł, uśmiechając się:

– To nie jest takie łatwe, jak się tobie wydaje. Gdy tylko zrobi się ciemno, zejdziemy ze skały. Każdy z nas położy się po jednej z czte-

rech stron i biada czerwonemu wojownikowi, który waży się zbliżyć! Byłby zastrzelony. Widzisz zatem, że w każdym przypadku mamy przewagę. Jednak ponieważ lubię czerwonoskórych mężów i nie chciałbym zabić ani jednego z nich, gotów jestem ze wszystkich tych przewag zrezygnować. Jestem twoim przyjacielem i nie powinieneś pozostać w tym złym położeniu, w którym znajdujesz się teraz. Chcę pomówić z moimi towarzyszami. Być może oni są gotowi z wami pojechać. Tylko nie wiadomo, jakie stawiasz warunki? Uwięziony może być przecież tylko ten, który został schwytany. Chcecie nas złapać, a pewnie, próbujcie! Ja nie mam nic przeciwko temu. To jednak byłaby właśnie walka, której chcesz uniknąć.

– Uff! – prychnął wódz nerwowo. – Twoje słowa są tak trafne jak twoje kule. Old Shatterhand jest nie tylko bohaterskim wojownikiem, lecz także mistrzem celnego słowa.

– Namawiam ciebie nie tylko dla mojej, lecz i dla twojej korzyści. Dlaczego mamy być nieprzyjaciółmi? Wykopalście tomahawki przeciwko żołnierzom i Nawahom. Nie byłoby to dla was z większym pożytkiem, gdyby Old Shatterhand był waszym sprzymierzeńcem miast wrogiem?

Wódz był wystarczająco mądry, by zrozumieć, że myśliwy miał rację. Jednak jego przysięga wiązała mu ręce. Dlatego oświadczył:

– Muszę uważać was za nieprzyjaciół, dopóki nie wypowie się zgromadzenie starszych. Jeżeli się na to nie zgodzisz, to przemówi broń.

– Zgadzam się. Porozmawiam z moimi towarzyszami i, jak sądzę, wyrażą gotowość, by z wami pojechać, ale nie jako jeńcy.

– A zatem jako kto?

– Jako towarzysze.

– Więc nie chcecie wydać waszej broni i nie pozwolicie się związać?

– Nie! W żadnym wypadku!

– Uff! To powiem ci na koniec jeszcze jedno. Jeśli nie zgodzisz się na to, będziemy was oblegać mimo twojej czarodziejskiej strzelby, jeśli zaś ruszycie teraz dobrowolnie z nami do naszej wsi, to zatrzymacie waszą broń i konie i nie zostaniecie również związani. Będziemy postępować zupełnie tak, jakbyśmy żyli z wami w pokoju, ale

musicie nam zaprzysiąc, że poddacie się postanowieniom rady bez żadnego oporu. Powiedziałem. *Howgh!*

To ostatnie słowo było dowodem, że teraz w żadnym razie nie ustąpi. Old Shatterhand był jednak zupełnie zadowolony z wyniku rozmowy. Gdyby Indianie chcieli naprawdę przejść teraz do ataku, nikt nie uszedłby cało. Wielkim szczęściem było, że mieli taki respekt przed czarodziejską strzelbą, dzięki czemu udało się osiągnąć wszystko to, co było w tym położeniu możliwe do osiągnięcia. Musiał w każdym razie ów respekt mieć także wpływ na postanowienia rady starszych. Dlatego Old Shatterhand odpowiedział:

– Wielki Wilk pozna, że jestem jego przyjacielem. Wcale nie chcę rozmówić się wpierrw z moimi towarzyszami, lecz od razu w ich i moim imieniu dam tobie słowo. Poddamy się bez oporu postanowieniom starszych.

– Weź twój kalumet i przysięgnij, że tak uczynisz.

Old Shatterhand odwiązał ze sznura fajkę pokoju, napełnił ją szczyptą tytoniu i zapalił przy pomocy punka<sup>1</sup>. Potem, wypuściwszy dym ku niebu i ziemi i w cztery strony świata, rzekł:

– Przrzekam, że nie będziemy myśleć o oporze.

– *Howgh!* – skinął głową wódz. – Teraz jest dobrze.

– Nie, bo i ty musisz potwierdzić przysięgą swe przyrzeczenie – oświadczył Old Shatterhand, podając wodzowi fajkę.

Ten liczył w duszy na to, że Old Shatterhand nie pomyśli o tym. W tym przypadku nie czułby się związany przyrzeczeniem i postąpiłby z białymi według własnej woli, gdyby tylko zeszedli ze skały. Jednak zgodził się na żądanie bez oporu, wziął fajkę i wydmuchnąwszy dym w ten sam sposób ku niebu, ziemi i czterem stronom świata, rzekł:

– Czterem bladym twarzom nie stanie się z naszej strony nic złego, dopóki rada starszych nie poweźmie postanowienia co do ich losu. *Howgh!*

Teraz, oddawszy kalumet Old Shatterhandowi, podszedł do Knoxa i Hiltona, którzy leżeli ciągle w tej samej pozycji, jak zostali powaleni.

---

<sup>1</sup> *Punk* (ang.) – podpałka, hubka, próchno.

– Do tych nie odnosi się moje przyrzeczenie – powiedział. – Należą do morderców, bo poznaliśmy ich konie jako nasze. Poniosą ciężką karę. Szczęściem dla nich, jeśli twoja ręka zabrała im dusze. Zdają się być martwi.

– Nie – odpowiedział Old Shatterhand, którego bystremu oku nie uszło, że ci dwaj w czasie rozmowy podnieśli raz ostrożnie głowy, aby się rozejrzeć. – Nie są zabiści. Nawet nie są nieprzytomni. Udają tylko nieżywych, bo myślą, że ich tutaj pozostawimy.

– To niechaj się te psy podniosą, inaczej zmiażdżę ich pod nogami! – zawołał wódz wymierzywszy każdemu z nich tak potężne kopnięcie, że zarówno Knox jak i Hilton zaniechali udawania nieprzytomnych i podnieśli się. Bali się tak bardzo, że nie przyszło im na myśl ani się bronić, ani uciekać.

– Dziś rano umknęliście moim wojownikom – odezwał się wódz gniewnie. – Teraz Wielki Manitou oddał was w moje ręce i będziecie tak wyc przy palu męczeńskim za popełnione morderstwa, że usłyszą to wszystkie blade twarze w górach.

Ci dwaj rozumieli każde słowo czerwonoskórego, ponieważ mówił on dość dobrze po angielsku.

– Morderstwa? – zapytał Knox, zamierzając podjąć próbę ratowania się przez zaprzeczanie. – O tym nic nie wiemy. Kogo mieliśmy zabić?

– Milcz, psie! Znamy was, a te blade twarze, które przez was wpadły w nasze ręce, wiedzą, co uczyniliście!

Knox był chytrym człowiekiem. Wiedział, że Old Shatterhand stoi cały i zdrowy obok wodza, a Indianie nie ważyli się porwać na tego sławnego westmana. Kto znajdował się pod jego opieką, był z pewnością równie bezpieczny jak on sam, dlatego drab wpadł na pewną myśl, którą uważał za jedyny ratunek. Old Shatterhand był białym, musiał więc ująć się za białymi u czerwonoskórych. Tak przynajmniej myślał Knox i dlatego odpowiedział:

– Naturalnie, muszą wiedzieć, co uczyniliśmy, bo jechaliśmy przeciw z nimi i od tygodni już jesteśmy razem.

– Nie kłam!

– Mówię prawdę. Zapytaj Old Shatterhanda. Ten ci wyjaśni i udowodni, że nie możemy być tymi, za których nas uważasz.

– Mylicie się – oświadczył Old Shatterhand. – Jeśli myślicie, że będę opowiadał kłamstwa, aby was wyrzeć zasłużonej karze, to muszę wam powiedzieć, że nie wpadłbym na to, by tak uczynić i stawiać się na równi z wami. Wiecie, co o was myślę, powiedziałem to i też zdania o was nie zmienię.

Odwrócił się od nich.

– Ależ, *sir* – zawołał Knox. – Nie opuścisz nas pan w tej biedzie! Chodzi o nasze życie!

– Otóż to, tak samo jak przedtem szło o życie zamordowanych przez was ludzi. Zasłużyliście na śmierć i nie mam żadnego powodu, aby mieć coś przeciwko temu, że wszyscy mają swoje prawa.

– Do pioruna! Jeśli tak, to i ja wiem, co mam robić. Nie chcesz nas pan ratować? Dobrze, zginiesz więc razem z nami! – A zwracając się do wodza, mówił dalej: – Dlaczego nie każesz związać i tych czterech? Oni także brali udział w rabunku koni i strzelali do Jutów. Właśnie od ich kul padło najwięcej waszych ludzi!

Była to bezczelność nie do porównania. Old Shatterhand wykonał ruch, jakby chciał się rzucić na owego bezwstydnika, powstrzymał się jednak i stanął, milcząc. Ale natychmiast też nastąpiła kara i to jaka! Oczy wodza zablęsnęły. Miotając pioruny, wrzasnął na Knoxa:

– Tchórz! Nie masz odwagi sam ponosić winy i zrucasz ją na innych, wobec których jesteś smrodliwą ropuchą! Dlatego kara twoja rozpocznie się nie dopiero przy palu męczeńskim, ale już teraz. Zabiorę ci skalp, a ty będziesz żył i będziesz go widział u mego pasa. *Nani wicz, nani wicz!*

Te słowa w języku Jutów znaczyły: „Mój nóż, mój nóż!”. Wódz wołał tak do Indian stojących na skraju polany.

– Na miłość boską! – zawołał zagrożony. – Oskalpowany za życia? Nie, nie!

Wykonał skok, chcąc uciec, ale wódz równie szybko skoczył za nim i chwycił go za kark. Krótkie przyciśnięcie silną ręką i Knox zawiśnął w niej bezwładnie jak szmata. Jeden z Indian przybiegł, podając wodzowi nóż. Ten wziął go, rzucił na pól uduszonego na ziemię i ukląkł nad nim. Nastąpiły trzy szybkie cięcia, szarpnięcie za włosy,



straszny krzyk leżącego pod nim i... wódz podniósł się, trzymając w lewej ręce krwawy skalp. Knox nie poruszał się, bo znowu stracił przytomność. Czaszka jego przedstawiała straszny widok.



Wódz podniósł się, trzymając w lewej ręce krwawy skalp.

**Chcesz przeczytać dalszą część?**

***Zapraszamy do księgarni!***